

Wybór nowel

Konopnicka Maria



calibre 0.9.27



Wybór nowel

[Miłosierdzie gminy](#) – str 2

[Mendel Gdański](#) – str 13

Omówienie – str 25

1

[Miłosierdzie gminy](#)

Dziewiąta dochodzi na zegarze gminy. Przez lekką mgłę poranną przebijają ciemniejsze, lazurowe gołębie, zapowiadając cudowną i cichą pogodę.

Przed kancelarią snują się, gromadki, oczekując przybycia pana radcy Storcha, którego szary filcowy kapelusz i laskę ze srebrną gałką widać przed bliską kawiarnią Gehra, u stolika pana sędziego. pokoju, czytającego tu przy cienkiej kawie swój poranny, dziennik. Pan radca może przybyć lada chwila; tak przynajmniej sądzi woźny, stojący w półurzędowej postawie na ganku kancelarii i odpowiadający na pozdrowienia przechodniów przytknięciem dwu palców do granatowej z białą wypustką czapki:

Od strony kawiarni Gehra dolatują rześkie głosy obu rozmawiających panów. Pan radca zatrzymał się tylko na chwilę, nie siada nawet, ale rozmowa z panem sędzią bawi go widać, gdyż słysząc od czasu do czasu jego śmiech swobodny, wesoły, któremu odpowiada krótkim naszczekiwaniem pyszny brunatny seter, w postawie sfinksa u stolika leżący.

Tymczasem ludzie przed kancelarię przychodzą, pozdrawiają się wzajem i stają gawędząc niedbale. Niektórzy idą wprost do kancelarii, inni przysiadają na kamiennych, połączonych luźnym łańcuchem słupkach, które niewielki, zwirem wysypany plac przed gmachem od ulicy dzielą; jeszcze inni zadarłszy głowy przypatrują się samemu gmachowi. Jest nowy. Stał wszakże na miejscu dawno zadrzewionym, z którego mu pozostawiono dwa szeroko rozrosłe o łupiącej się delikatnej korze platyny, których żywą zieleń jesienne słońce złocić już nieco zaczęło.

Sam gmach prosty, szary, kwadratowy niemal, ma na płaskim dachu niską, żelazną balustradę o złożonych gałkach, a na fasadzie cztery pilastry i pamiątkową tablicę z napisem. Napis ten; błyszczący wesoło złoceniem swych liter, przyciąga oczy ludzkie. Każdy prawie z przybyłych podnosi głowę i odczytuje go z powagą. Alboż nie ma prawa? Wszak każdy na wzniesienie kancelarii dał swoje trzy grosze, a dom jest wspólną własnością i wspólnym dziełem gminy. Nie mniej przyciąga oczy zegar, umieszczony w samym ostrzu trójkąta opierającego się podstawą o płaskie kapitele pilastrów, tylko że wskazówki jego zdają się dziś wolniej jakoś poruszać po okrągłej i błyszczącej tarczy. Tak przynajmniej mniema właściciel bliskiej piwiarni, który co chwila dobywa swoją wielką srebrną cebulę konfrontując ją z zegarem gminy! Miły Boże; po co się człowiek ma śpieszyć. Czas i tak leci. Już tylko parę minut brakuje do dziewiątej; gromadki zaczynają się ściągać przed sam ganek kancelarii, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Nie ma w tym zebraniu nic uroczystego: jak kto przy robocie stał, tak przyszedł. Zwyczajnie, za interesem.

Codziennie "joppy" szarzejają się na grzbietach; rzeźnik Wallauer przyszedł w różowym dymkowym kaftanie, Jan Blanc, rymarz z Hösehli, w zielonym kitajkowym fartuchu, spiętymi na mosiężną haftkę z łańcuszkiem; wielu mimo ранego chłodu stawiało się na zebranie w kamizelkach tylko; wdowa Knaus, jak szła z targu, tak wstąpiła z koszykiem ogrodowizny i z nową szczotką pod pachą. A cóż? Wszak tu wszyscy swoi:

Nareszcie na kwadratowej wieżycy Nowego Münsteru zaczynają bić kwadransy, a jednocześnie daje się słyszeć radosne szczekanie wyżła biegnącego u nóg pana radcy.

Wyprzedza go, wraca, znowu go wyprzedza, znów w paru susach wraca, aż weszli razem w wybornych humorach w otwarte drzwi kancelarii. Zaraz ' za nimi zaczynają wchodzić czekające przed gmachem gromadki.

Wchodzą i w sieniach już dzielą się na dwie partie: ciekawych i interesowanych.

Interesowani przepychają się zbitym szeregiem do żółtych drewnianych balasków, 2

dzielących salę na część urzędową i nieurzędową, ciekawi idą wolniej i obsiadają ławki biegnące dokoła pod ścianą.

Nie jest to rozdział stanowczy

To z jednej, to z drugiej strony co i raz miano sobie coś do powiedzenia; czasem też który z ciekawych uczuwa się nagle interesowanym i u balasków miejsca sobie szukał. Człowiek może się namyśleć i w ostatniej chwili.

Ineresowanych jest mniej; ci mają ważniejsze stanowisko w sali. Jest tu powroźnik Sprüngli, który się niedawno z wdową ożenił i warsztat chciał rozwinąć; jest Kägi Tobiasz, właściciel piwiarni "Pod Zieloną Różą"; jest piekarz Lorche; jest oberżysta z Mainau; jest Dödöli, właściciel winnic; jest Wetlinger Urban, słodownik; jest Tödi Mayer, ślusarz; jest kotlarz Kissling; jest ogrodnik Dörfli, jest stolarz Leu Peter i kilku innych jeszcze.

Każdy z nich potrzebuje posługi to w warsztacie, to w domu; to w roli. Każdy też woli, że mu to

taniej przyjdzie, niż gdyby parobka zgodził. Porozpierali się u balasków i gwarzą z cicha. Wdowa Knaus także się między nimi rozparła. Od czasu jak się syn ożenił, na imię boskie nie ma się kim w domu pchnąć. Jest przy tym miłosiernego serca i chętnie by biedotę jaką wzięła, żeby tylko posługę z tego niezgorszą mieć można. No i żeby dopłata nie bardzo marną była. Nie może przecie niedołągi darmo do domu brać. Gmina zresztą ma fundusze na to, żeby za biedaków, co już robić nie mogą, płaciła.

Żebrać przecież nie pójdą, nie wolno. Czy tylko będzie w czym wybrać? Pod jesień słabnie to jak muchy. Wolałby babę. Phi! weźmie i dziada, jak baby nie będzie.

Aby od biedy, aby od biedy! A czy to mało tej hołoty w gminie? Tygodnia nie ma, żeby do kancelarii nie ściągnęła jaka mizerota, której się zdaje, że już nie poradzi robocie.

Nieprawda! Takiego dobrze docisnąć, to i za młodego obstanie od nagłego razu. A i to błogie, co tam gmina doda. Nie raz, nie dwa jeszcze taki swego nie przeje, a już go śmierć ściśnie. Hoppingerom się trzydzieści, franków po starej Reguli zostało, co ją na wiosnę z kancelarii wzięli. A Egli? Egli więcej niż w parobka w Alojza orał, a jeszcze połowy zapomogi nie wydał, kiedy stary zipnął Pan Bóg miłosierny niczyjej krzywdy nie chce!

Tu wdowa wzdycha, a czarny kamlotowy kaftan podnosi się z szelestem na jej szerokich piersiach.

Ale jeden i drugi ogląda się ku drzwiom. Czemu nie przyszedł Probst?

Spodziewano się, że pierwszy do licytacji stanie, a jego dotąd nie ma.

Ucicha nareszcie w sali; a pan radca podnosi głowę od biurka, przy którym stojąc czytał papier jakiś.

Jest to młody jeszcze, przystojny i okazały szatyn, którego niewielka łysina niemal że nie szpeci wcale. Twarz ma mięsistą, okrągłą, wąs rudawy, spojrzenie otwarte, jasne. Ubrany z pewnym wykwintem, u szwajcarskich urzędników niezwykłym. Szczególniej uderza śnieżny gors u koszuli, na którym błyszczą drobne złote spinki Podniósłszy głowę pan radca oczy mruży i znad złotych okularów po obecnych patrzy W tej chwili właśnie woźny drzwi zamyka. Zdaje się, że już nikt więcej nie przyjdzie.

- No, moi panowie - odzywa się pan radca przeciągając palcem tłustej białej ręki pomiędzy przyciasnym kołnierzykiem a pełną, nieco nabrzmiąłą szyją - no, moi panowie, mamy dziś, jak wicie, posiedzenie sekcji dobroczynności w gminie. Czy tak?. - Tak, talk! - odzywa się kilka głosów w sali.

- A więc, moi panonie - dodaje radca zapuszczając palec między kołnierzyk a kark kładący się na nim fałdą tłustej skóry więc możemy zaczynać!

- Tak, tak! - odzywają się ponownie głosy. Ale pan radca, świeży urzędnik z wyborów, nie lubi tracić sposobności do małych przemówień, które by gruntowały popularność jego. Chrząka tedy i oparłszy obie dłonie na pulpicie swego biurka tak rzecze:

- Wiadomo panom, jak opiekuńcze są ustawy gminy. Wiadomo panom, że gmina nie, dozwala

cierpieć nędzy żadnemu z członków swoich. Ociera łzy, odziewa nagich, karmi głodnych, bezdomnym daje dach nad głową, słabych wspiera.

3

Tu czując, że mu się ten frazes udał, robi krótką, lecz znaczącą pauzę. Obejmuje potem oczyma obecnych i tak mówi dalej:

- Ustawy gminy są ustawami chrześcijańskiego miłosierdzia, są one nie tylko naszą zdobyczą cywilizacyjną, ale naszą chlubą. Tak jest, panowie, one są naszą chlubą! Wiadomo panom, że młodość nie trwa, siły opuszczają, choroba i bieda łamie.

Jest to powszechne prawo, któremu ulega świat cały. Ale nasza gmina podejmuje walkę z tym prawem. W jaki sposób? W bardzo prosty: przygarnia tych, których skrzywdziło życie, przygarnia nędzarzy i wydziedziczonych, przygarnia kaleki i niemocne starce!

Tu pan radca dziwi się, że mu tak dobrze idzie, i znów robi pauzę. Żal mu po prostu, że słucha go tak mała garstka ludzi. Taka mowa, wypowiedziana na jakimkolwiek dużym zebraniu; zrobiłaby mu imię, Za czym z wysoka rzuca okiem na salę i tak kończy:

- Tak jest, moi panowie! Gmina przygarnia ich i godząc rozsądną rachubę z porywami serca mówi: Starzec ten, nędzarnik ten, ten kaleka nie może już wyżyć ze swej pracy. Owszem, nie może już pracować. Nie ma on rodziny, która by go żywić mogła; lub też ma rodzinę biedną, której praca ledwo starczy, by głodu nie zaznać..

Mamże go puścić, żeby się włóczył po drogach jako wstrętny żebrak Nigdy.

Potrząsa głową energicznie i podnosząc głos mówi:

- Woźny, wprowadź kandydata!

Woźny przechodzi szerokim krokiem salę i znika we drzwiach bocznych, do małej komórki, służącej niekiedy za kozę, wiodących; między zebranymi szerzą się półgłośnie szmery, a pan radca stoi z podniesioną ręką, żeby nie wychodzić z pozy. Uplywa krótka chwila Nagle w drzwiach bocznych ukazuje się naprzód głowa, dygocąca na cienkiej, wychudłej szyi, potem kolana ku przodowi zgięte, potem stopy resztką obuwia ozute, potem ręce zgrabiałe i drżące, które się uszaków drzwi z obu stron chwytają, żeby dopomóc nogom przez próg, a wreszcie grzbiet w pałąk zgięty. Jest to Kuntz Wunderli, stary tragarz, którego wszyscy znają.

W sali zapanowuje szmer głośniejszy nieco.

- To kandydat? Na miłosierdzie boskie, cóż to za kandydat? Któż to weźmie do siebie takiego trupa? Co za pomoc z tego komu? Co za wyręka? No, no! Ciekawa rzecz, co też gmina dać myśli za wzięcie tego próchna! A toć to skóra i kości! Nic więcej!

Niezadowolenie się wzmagają. Są tacy, którzy od razu sięgają za czapki i od balasków odchodzą

Ale pan radca na szemry te nie zważa i za ledwie Kuntz Wunderli ukazał się we drzwiach, tak mowę swą kończy:

- Tak jest, moi panowie! piękne nasze ustawy wyгнаły z ziemi naszej żebraninę, a wprowadziły do niej miłosierdzie. Nie ma już opuszczonych! Nie ma już nędzarzy!

Gmina jest ich matką, gmina jest ich żywicielką. Oto jest starzec niezdolny do pracy.

Kto z panów chce go wziąć do siebie? Niejedną posługę mieć można jeszcze z niego.

Gmina nie wymaga, by jej członkowie czynili to darmo. Gmina gotową jest, podług ustaw swoich, przyczynić się do utrzymania tego starca. Kandydacie, przybliź się!

Panowie, przy patrzcie się kandydatowi!

Sklonił głowę i dobywszy fular otarł nim czoło. Łatwo się pocił, a w sali stawało się gorąco.

Tymczasem Kuntz Wunderli, popchnięty nieco z tyłu przez woźnego, wydobywa się szczęśliwie zza drzwi i przy progu staje. Pełne światło z otwartego, na obszerną ławkę okna pada teraz na jego zgarbioną i znędźniałą postać. Stoi tak przez chwilę, mniąc w ręku stary pilśniowy kapelusz, a chude kolana drżą mu coraz silniej. Jest wzruszony. Nagle prostuje się; podnosi głowę i z uśmiechem na obecnych patrzy.

Uśmiech ma zachęcający, wesoły prawie. Kuntz Wunderli nie wie, kto będzie panem jego. Uśmiecha się tedy do wszystkich i rażno mruga oczyma. Oczy te są zimne; osłupiałe i stroskane. Stary Kuntz usiłuje im wszakże nadać filuterny, niemal lekkomyślny wyraz. Gdy mu się jedno zmęczy i staje w ciemnym, swoim dole nieruchome, martwe, mruga drugim, jak gdyby chciał mówić: "Jeszcze ja mocny! O, i jaki mocny! Chleba darmo nie zjem, pracować będę, każdej robocie poradzę. I wody 4

przyniosę, i drew ułupię, i kartofli naskrobię, i izbę zamiotę... Dużą siłę mam jeszcze...

dużą siłę...

A gdy tak patrzy z wysiłkiem, stara jego głowa coraz silniej trząść się zaczyna, oczy nieruchomieją i zachodzą wielkimi łzami a ręce szukają podpory. Jedne tylko wąskie i zapadłe usta uśmiechają się, ciągle się uśmiechają. Wtedy nawet, kiedy dwie łzy ciężkie i zimne toczą się zwolna po zmiętej i zbrudzonej twarzy.

Ten, to ów zaczyna mu się przyglądać. Istotnie stary wygląda wcale jeszcze dobrze. Dziś rano ogolił się właśnie; woźny pożyczył mu brzytwy. Leży to w interesie gminy, żeby taki kandydat jak najlepiej i najraźniej się przedstawiał. Inaczej mógłby nie znaleźć, wcale amatora. Nie tylko więc woźny pożyczył mu brzytwy, ale starego kubraka i niebieskiej chustki na szyję, które po licytacji znów sobie odbierze. Stary Kuntz umie to cenić. Wie on, jakie pobudki miała gmina w tak łaskawie udzielonej mu pomocy, i rad by przede wszystkim uwydatnić te piękne szczegóły swojego ubrania.

Ale rękawy kubraka są na niego przydługie; sam kubrak, zbyt obszerny, wisi na nim raczej, niżli go odziewa, a bujny, niebieski ba wełniany fontaż dziwnie się sprzecza z jego wyschlą, pomarszczoną w

tysiące nzwów szyją, którą Kuntz to wyciąga, to chowa, nie wiedząc, jak lepiej przedstawi się chustka. Właściwie mówiąc, jest w trudnym położeniu.

Trzeba mu i litość wzbudzić, i nie okazywać się zbyt niedołężnym. Wie on, że stoi tu w charakterze starca nie mogącego pracować, ale wie także, iż każdy z tych, co tu przyszedł, na jego ręce patrzy, czy się roboty chwycą. Gmina ma nad nim.

miłosierdzie prawda, ale zbyt wiele dopłacać za niego nie zechce. On to wie, wie dobrze; zbyt wiele wymagać nie może... Zmieszany, wzruszony patrzy ludziom po oczach, miarkując; co który myśli: na woźnego też rzuca w bok krótkie spojrzenia, jakby dla úupewnienia go, że ani brzytwa, ani kubrak, ani chustka nie pójdą na marne.

Ludzie patrzą na starego i gawędzą głośno. Nie leży to w interesie żadnego z nich, żeby okazywać zbyteczny pośpiech. Staliby tak do południa może, porozpierani na balaskach i biorący tabakę, ale pan radca nie lubi przewlekłych posiedzeń.

- No, moi panowie - odzywa się on głośno. - Czy przypatrzyliście się kandydatowi?

- A cóż mu się tam przypatrywać - odpowiada po małym milczeniu kotlarz Kissling. - Toć my go co dzień. widzimy. Stary ledwo dycha, nie uciągnie, nie dźwignie... Jak myślicie, szwagrze zwrócił się do Faustyna Tröndi - będzie miał z osiemdziesiąt albo i więcej ?

Stary chrząknął. Osiemdziesiąt dwa skończył, osiemdziesiąt dwa... Ale uśmiecha się tylko i milczy.

- Ile macie lat, stary? - pyta go Tödi Mayer.

Kuntz szybko mruga ku woźnemu okiem, a potem mówi:

- Siedemdziesiąt i cztery, kochanku! Siedemdziesiąt i cztery!

- A pokaż no, stary, zęby!! - odzywa się oberżysta z Mainau. Kuntz znów rzuca szybkie spojrzenie na woźnego i rozszerzywszy zeschłe wargi ukazuje wcale jeszcze zdrowe zęby.

Publika zaczyna się śmiać. ·

- Ho! ho! - mówi jeden - a to by i kość ugryzł.

- Chleba się nie złęknie - dodaje drugi.

Leu Peter, stolarz, przechyla się ku niemu.

- A machnij no, stary, pięścią! Dalej!

Wunderli postępuje krok naprzód, podnosi nieco głowę, prostuje grzbiet i macha kilka razy ręką, której ściśnięta pięść ginie w długim rękawie pożyczonego kubraka.

Ręka opada mu za każdym razem jak złamana gałąź. W stawach słychać trzask przykry.

- A co? Nieźle macha! - odzywa się ktoś z ławy.

- Phi!... - dodaje pesymistycznie drugi, wiedząc, że uwagi galerii nigdy nie są dla interesowanych stracone.

- A jakże nogi? - pyta znów Tödi Mayer, który widocznie na Kuntza ma ochotę. -

Maszeruj no, stary!

5

Ale stary miesza się widocznie. Nogi, to właśnie najslabsza jego strona. Ba!

gdyby nie nogi!... I nawet nie tyle nogi, co kolana... Na samą myśl o wyprostowaniu już mu w nich coś strzyka... Ale Kuntz Wunderli nie zawiedzie gminy. Z najwyższym wysiłkiem unosi jedną stopę i stawia ją natychmiast na tym samym miejscu. Nie...

nie... pomylił się. To nie ta! To gorsza! Podnosi tedy drugą, lecz jeszcze szybciej spuszcza ją z głośnym syknieniem. Co u diaska! Czy to nie tanta? Czyżby ta właśnie była gorszą?

Interesowani marszczą się i milczą Galeria, która z ławek po wstawszy podeszła do balasków, zaczyna się śmiać głośno.

- Dalej! Dalej? - wołają. - Maszerować! Maszerować, stary!

Pan radca surowo spogląda na śmiejącą się galerię, po czym zwrócony do starego mówi z odcieniem niecierpliwości:

- Czegóż stoisz? Rusz się z kąta?

Kuntz Wunderli uśmiecha się nieśmiało, boleśnie. Zaraz, zaraz... Naturalnie!

Czegóż on stoi? Zaraz się ruszy... Zaraz...

I nagle, zebrawszy siły, podnosi głowę, wytrzeszcza spłowiałe oczy, wyciąga jak żuraw szyję; prostuje się, przyciska rękami kolana i ku drzwiom maszerować zaczyna.

Jest to widok tak pocieszny, że całe zgromadzenie wybucha głośnym śmiechem.

Stojący bliżej przy ławach padają na nie, chwytając się za boki, pan radca zasłania usta trzymaną w rękę ustawą, a woźny odwraca się do kąta i parska w kułak.

- Dobry! Dobry! - wołają głosy z ławek.

- Dalej! Dalej! - odpowiadają inne.

Stary idzie. Sztywne jego nogi nie zginają się wcale: podnosi on je jak kije z niezmiernym wysiłkiem

i opuszcza na dół, rozpaczliwie przyciskając rękoma chore i obrzmiałe kolana. Tymczasem, jakby na złość, sala wydłuża się, rośnie, drzwi uciekają kędyś, ściany nabierają przeraźliwej głębi; staremu Kuntzowi zdaje się, że nigdy, nigdy nie zdoła dojść aż do nich... Czuje wszakże, iż wszyscy ci ludzie na niego patrzą, że - gmina patrzy. Zaciska tedy zęby i znów podnosi sztywną i ciężką nogę.

Nagle staje i szeroko otwiera osłupiałe oczy. U drzwi, w gromadzie głów ludzkich widzi głowę syna.

Tego się nie spodziewał. Nie, nie! Tego nie...

Ciemna czerwoność bucha mu na twarz resztką krwi spod serca.

Nie słyszy śmiechu ludzkiego, nie słyszy nawet głosu pana radcy, który go na miejsce woła. Widzi tylko syna.

Jak urzeczony patrzy na niego i zaczyna drzeć jak na wielkim; wielkim zimnie; wszystkie jego stare kości dygocą. Struchlała twarz blednie, bieleje, staje się biała, bardzo, bardzo biała. Na czole rysuje się dziwnie twarda i surowa bruzda; oczy jego zapalają się i gasną. Niepocieszone, martwe, stroskane, z dziwem i strachem patrzą się w twarz syna. Nie, nie, on nie chce, żeby go syn licytował w gminie... On nie chce!

Kurczy się, odrywa ręce od kolan i zastawia się nimi Nie, nie! On się boi! On nie chce! Ale woźny przystępuje i bierze go za ramię.

- Go u diabła? Czego stoi jak głupi? Czy nie widzi; że urząd czeka? Dalej naprzód!

Stary Wunderli jest wszakże w tej chwili tak słaby, ale to tak słaby jak dziecko.

Po prostu: ruszyć się nie może. Nogi mu się płaczą, zęby szczękają, głowa się chwieje jak ten liść jesienny. Woźny popycha go przed sobą, a także podtrzymuje nieznacznie.

Gdyby go nie podtrzymywał, stary upadłby może. W duchu nie ma on wielkiej nadziei, żeby starego gmina łatwo pozbyć się mogła. Te raz widzi, że i brzytwa, i chustka, i kubrak - tak jak na nic.. Zupełnie jak na nic.

- Prędzej! - woła niecierpliwie pan radca.

Kuntz Wunderli opamiętywa się jakoś i znów staje na poprzednim miejscu. Jest ono dobrze wybranym. Z szeroko otwartego na ogród okna pada na nędzarza pełne, złote światło. W świetle tym zmartwiała twarz starego nabiera nieco życia Na łysej jego czaszce igra odbłask cichej i modrej pogody. Osłupiałe źrenice podnoszą się i zawieszają kędyś daleko; na szerokim słonecznym błękitcie.

6

- Kto wie? Może i nieźle byłoby, żeby się syn utrzymał. Kto wie? Synowa zła i skąpa, to prawda. ale umarłby wśród swoich przynajmniej. I wnuki... widziałby co dzień wnuki..

Źrenice starego wilgotnieją, stają się miękkie i rzewne; na ustach drży jakieś niewymówione słowo,

wielka surowa zmarszczka na czole wygładza się i znika.

Stanowczo nie wygląda w tej chwili na więcej jak siedemdziesiąt cztery. To ożywia nieco interesowanych.

- Nietęgi w nogach! - mówi kręcąc głową piekarz Lorehe.

- Co to nietęgi! - prostuje ktoś z ławy.

- On nas jeszcze wszystkich przeskoczy! - dodaje inny.

- Zuch stary! - woła trzeci.

- Jakże myślicie, szwagrze? - pyta półgłosem Tödi Mayer swojego sąsiada.

- A cóż? ja bym brał. Kiepski w nogach, ale w warsztacie posłuży.

- Ani bym na to chuchro nie spojrział - mówi Dödöli - gdyby tu był inny.

- A co ? w domu i to się przyda - perswaduje Kissling.

Pan radca bystrym okiem po obecnych wodzi. Chwila wydaje mu się odpowiednią do zagajenia licytacji. I tak sprawa ta przeciągnęła się nad miarę dzisiaj. Za dużo było ciekawych.

Dobywa zegarek, podnosi go blisko do oczu, porównywa ze ściennym zegarem gminy i skinąwszy na woźnego rzecze pełnym inicjatywy głosem:

- Moi panowie, kończymy! Kandydat, przedstawiony wam przez sekcje dobroczynności gminy, ze wszech miar zasługuje na waszą uwagę. Zdrow jest, niezbyt podeszły w latach; siły dobrze mu służą i do każdej lżejszej roboty przydać się w domu może. Kto z panów reflektuje? I z jaką dopłatą?

Cisza nastaje po tych słowach pana radcy. Jaki taki liczy się z, potrzebą posługi i z groszem.

Sprüngli porusza się i przestępuje z nogi na nogę. Zauważył to pan radca i skłaniając się uprzejmie w stronę powroźnika rzecze:

- Moi panowie, pan Sprüngli zaczyna. Panie Sprüngli; prosimy! Jakiej dopłaty żądałbyś pan od gminy za przyjęcie w dom swój kandydata?

- Dwieście franków! - rzecze powroźnik i urywa niepewny, czy nie zażądał zbyt mało:

- Co? Dwie-ście fran-ków? - pyta udając zdumienie pan radca. Po czym zatrzymuje się na chwilę: - Moi panowie! Nic nie byłoby dla mnie miłszego nad taki stan finansów gminy, który by sekcji jej dobroczynności pozwalał na podobnie kolosalne wydatki. Gdy jednak tak nie jest, musimy to uwzględnić i stawiać przystępniejsze cyfry. I namyślcie się, panie Sprüngli? Jakże, moi panowie?

Widzieliście, panowie, zęby kandydata? to człowiek silny jeszcze!

- I cóż tam, zęby! - odzywa się oberżysta z Mainau. - To gorzej jeszcze, że zdrowe! Jak się stary rozje, to go nie natkam, a do roboty nie stanie.

- Oho! nie ma biedy! Już my go napędzimy! - mówi Kägi mrugając zezowatym okiem.

- Ja? - obrusza się oberżysta. - Ja na dziecko nie zakrzywię palca! -

- No, no! - odpiera Kägi. - Potraficie w parobka orać!

- Wy co? Czy to ja Probst jestem?

Roześmieli się obaj.

- Kto tam wie, czy i Probst winien! - rzecze Kissling. - Dziad napijał się może...

- Jako żywo! Nikt go pijanym nie widział - zaprzecza Lorche.

- Ale to tam nie Probsta robota, tylko żony! Żona jęcza..., odzywa się głos z ławy. - Baba spod ciemnej gwiazdy! - dorzuca ktoś z kąta.

- Jak było, tak było - mówi Sprüngli - dość, że się stary Hänzli u niego powiesił...

- Musiało mu być słodko..

- Jak to? - woła rzeźnik Wettinger. - To ja takiego będę żywił, odziewał, dach nad głową dawał za ten marny grosz z gminy, a do roboty nie będzie mi go wolno napędzić?

- No tak... Ale zawsze..

7

- Moi panowie - przerywa pan radca - przystępujemy do ukończenia tej sprawy.

Czas urzędowych osób jest ograniczony. Pan Sprüngli podał dwieście franków. Kto z panów licytuje in minus?

Cisza.

- Kto z panów licytuje? - pyta ponownie pan radca. - Panie Sprüngli, namyślcie się, proszę.

- Jużem się namyślił - rzecze Sprüngli. - Mniej nie mogę niżli dwieście franków.

Pan radca odwraca się od niego.

- Kto licytuje, panowie? Kto licytuje?

- Sto osiemdziesiąt pięć wezmę! - mówi zwolna, cedząc zgłoski piekarz Lorche. -

Ale niech przynajmniej tę zimę w ubraniu swoim chodzi. U mnie ciepło.

Stary Wunderli spogląda po sobie najpierw, potem po sali i nagle drzeć zaczyna.

Wydaje mu się, że mróz już mu kości sięga. W swoim ubraniu? Cóż on za ubranie ma?

Alboż on na ubranie zarobić mógł grosz jaki? Na chleb zaledwie mógł zarobić, a i to z ciężkością. Bluzę płócienną ma, łataną bluzę tylko. Jak tu zimę w tym przebyć? Co to za ubranie?..

- Sto osiemdziesiąt z tym samym warunkiem! - odzywa się grubym głosem Dödöli, właściciel winnicy.

- Z tym samym warunkiem? - myśli stary Kuntz, a nędzne jego nogi dygocą coraz silniej. - Miłosierny Boże! Po cóż tu jakie warunki? Wszak stoi tu jak ten Łazarz przed ludźmi... Cóż tu za warunki?..

Po oświadczeniu Dödölego znów się cicho robi..Pan radca stoi jak na szpilkach.

Chwilę bawi się koralowym brelokiem, po czym zmuszając się do uprzejmego tonu mówi:

- Dalej, moi panowie! Dalej! Kto licytuje?

- Sto siedemdziesiąt i pięć! - mówi dobitnie Tödi Mayer. Potrzeba mu na gwałt parobka. Robota aż kipi w domu.

- Sto sześćdziesiąt! - woła ktoś nagle z kąta.

Obejrzano się: nie dowierzano sobie. Zazwyczaj opuszczano po pięć franków, po siedem zresztą Ale żeby ktoś o piętnaście od razu mniej chciał brać, teko przykładu nie było.

Sam pan radca spogląda ciekawie w kąt sali; stary Kuntz także podnosi głowę i patrzy:

Z boku nieco, bliżej drzwi, poza ramionami licytantów, u balasków rozparty stoi syn jego, z krótką fajką w zębach. Za rękę trzyma najmłodszego chłopca.

Stary otwiera usta i patrzy z mieszaniną strachu i nadziei.

Syn przeciska się do balasków, wyjmując fajkę i w pierwszym rzędzie staje z podniesioną głową. Nikt mu tego za złe nie bierze.

Dzieciaków gromadę ma, sam ciężko pracować musi. Jedna gęba więcej u miski to duża rzecz tam, gdzie i ci, co do niej siedli, nie zawsze się najedzą. Trzymać ojca darmo nie może. Bóg widzi, jako nie może! Ale z tym, co gmina doda, spróbuje. Nie wymaga wiele. Od razu trzy razy tyle opuszcza, co ktokolwiek z obcych. Zarabiać na gminie i na starym nie chce. Niech tylko mu się własny grosz, choćby i niecały, powróci,

Wszyscy to rozumieją doskonale; każdy by z nich zrobił to samo. Człowiek się tak jak każda rzecz zużywa, a zużyty cięży. Kto na to ma, może i dziada żywić, a nie dopiero ojca, ale kto nie ma na to,

jużci, kraść nie pójdzie. Jest to rzecz jasna jak słońce.

A jednak od tej rzeczy jasnej jak słońce pada jakiś posępny cień na wszystkie czoła. Ludzie bokami patrzą, jakby nie chcieli, nie mogli spojrzeć sobie oko w oko.

Cisza trwa dłużej niż zwykle. W ciszy tej słyhać ciężkie, do jęku podobne westchnienie starego Kuntza.

Pan radca bystro pogląda po ludziach. Widocznie syn się utrzyma.

- A więc, moi panowie - zagaja przemilczawszy nieco a więc utrzymuje się ostatnia oferta: sto sześćdziesiąt franków! Cieszy mnie, bardzo cieszy.

Tu urwał. Właściwie nie wie, co go tu ma cieszyć. Tego, iż cieszy się, że sobie wszyscy raz do licha pójda, nie może im przecież tak w oczy powiedzieć.

8

Ale przemowa ta okazuje się przedwczesną.

- Sto pięćdziesiąt i pięć! - podbija syn Tödi Mayer i ociera czerwoną bawełnicą szerokie, spocone czoło.

Syn cofa się w milczeniu od balasków i rozdmuchuje przygaszoną fajkę. Ale dziecko, które za rękę trzymał, spostrzega w tej chwili starego.

- Dziaduś! Dziaduś! - woła cienkim, przenikliwym głosikiem: Stary wnuka nie widzi, słyszy go tylko, rzewny uśmiech rozszerza jego zwiędłe wargi. Potrząsa radośnie głową i robi ruch taki, jakby brał, tabakę. Idzie to jakoś, dzięki Bogu idzie. Wszystko jeszcze może być dobrze!

- Sto pięćdziesiąt! - woła syn.

Ale Tödi Mayer ustąpić nie myśli. Zaperzył się; był z tych, którzy się rozpalają do każdej stawki. Cóż syn? Syn go mógł darmo trzymać.. Za pieniądze gminy każdy teraz dobry, każdy ma prawo.

- Sto czterdzieści i pięć! woła podniesionym głosem.

Syn przechyla głowę i Patrzy na Tödi Mayera z wysoka lekko zmrużonymi oczyma.

Namyśla się chwilę, po czym macha obojętnie ręką. Nie może ryzykować więcej.

Zrobił, co do niego należało, ale ryzykować nie może. Jego czarna o prostych włosach głowa i twarz kwadratowa, drewniana cofa się z szeregu, a wysoka, koścista, nieco pochylona postać posuwa się ku drzwiom wskroś ciżby.

Stary patrzy za nim. Jest niespokojny, otwiera usta i wyciąga szyję, lewa powieka zaczyna mu drgać nerwowo. Wygląda teraz staro, bardzo staro. Tödi Mayer miarkuje, że nieświatny zrobił interes, i

szeptce z kumem Spenglerem.

Tymczasem pan radca uderza dłonią w biurko, przy którym stoi.

- A zatem - odzywa się dźwięcznym, jasnym głosem -- sto czterdzieści i pięć franków! Po pierwsze... po..

- Za pozwoleniem! - przerywa nagle Tödi Mayer. - Czy tylko jopa należy istotnie do starego?

Pan radca marszczy piękne, gładkie czoło.

- To nie może wchodzić w zakres roztrząsań gminy! - rzecze z godnością, a woźny odwraca się do kąta i kaszle głośno.

- Jak to nie może? - ujmuje się za sąsiadem Spengler. - Gmina musi wiedzieć, co daje, a ten, kto bierze, musi wiedzieć, co bierze To jasne!

- Jopa twoja? - pyta Tödi Mayer zwracając się bezpośrednio do starego Kuntza.

Ale stary Kuntz nie słyszy.

Lewa jego powieka drży coraz silniej, spojrzenie słupieje. Widzi, jak syn oddala się i jak znika we drzwiach. W chwilę potem widzi go jeszcze raz przez otwarte okno i słyszy szczebiot dziecka Idą... Przeszli.

- Stary opuszcza głowę i trzęsie nią w milczeniu. Potem ściska powieki z całej, z całej siły. Coś mu żre oczy; słonego coś; gorzkiego... Żre i pali...

- Słyszysz, stary? - powtarza Tödi Mayer głośniej. - Pożyczył ci kto jopy czy własna?

Usłyszał wreszcie. Miesza się, spogląda po sobie, zaczyna szybko mrugać czerwonymi oczyma i rzuca ukradkiem spojrzenia w kąt, gdzie woźny stoi.

Tödi Mayer uderza pięścią w balaski.

- Ależ to oszukaństwo! - wybucha gniewnie.

- Tak! Tak! - odzywa się kilka na raz głosów.

Szmer rośnie w sali; oburzenie udziela się wszystkim.

- Człowiek ma miłosierdzie - woła Tödi Mayer szeroko rozkładając wielkie czerwone ręce - bierze sobie za marny grosz taki ciężar na kark, ale chce, żeby interes rzetelnie był zrobiony. To trudno!

- Tak! Tak! - potwierdza więcej jeszcze głosów. Ponad wszystkimi słychać głos Spenglera. Na twarz pana radcy bucha płomień gniewu.

- Ściągaj kurtę! - krzyczy na starego, a Kuntz Wunderli z pośpiechem rozpinać ją zaczyna.

9

Nie idzie to łatwo. Ręce mu się trzęsą, pokurczone palce nie trafiają do guzików od razu; staremu pomaga woźny ściągając ze złością rękawy. Jako urzędnik gminy, czuje się on niemal tak samo dotknięty jak pan radca.

- Kapuściana głowa! Niedołęga! - szeptem przyciszonym, zirytowanym głosem, szarpiąc na przemiany to jeden, to drugi rękaw nieszczęsnej kurty, po której zdjęciu okazuje się cała wyjątkowa nędza zapadłych piersi i wychudzonych żeber kandydata, ledwie co okrytych srodze łątaną koszulą i szczętami letniej kamizelki.

Stary Wunderli drży silnie, częścią z chłodu, a częścią ze strachu. Wydało się...

Co teraz będzie? Wszystko się wydało...

W niezmiernym pomieszaniu podnosi do szyi obie trzęsące się ręce i usiłuje rozplątać misternie przez woźnego zadzierzgnięty fontaż:

- I chustka nie twoja? - krzyczy Tödi Mayer zdjęty ostatnią pasją w swym rozczarowaniu.

- Nie moja. - odpowiada ledwie słyszalnym szeptem Kuntz Wunderli.

Woźny wyszarpuje mu ją z ręki.

- Kapuściana... ośla... barania głowa! - mówi przez zęby z naciskiem.

Historia z chustką więcej go jeszcze gniewa niżli historia z kubrakiem: Inicjatorem pożyczki kubraka nie był sam: podsunął ją mimochodem pan radca, zważywszy, iż kandydat był zbyt źle odziany aby się mógł pokazać w urzędowej części sali.

Ale chustka? Chustka była własnym pomysłem woźnego. Sam ją wiązał, włożył w wiązanie to coś z artystycznych instynktów swoich, coś z własnej duszy...

Zdejmowanie jej nie było zresztą rzeczą konieczną, nikt chustki nie podejrzewał, nikt nie pytał o nią. Rozdrażnienie woźnego jest tak wielkie, iż zmiąwszy ten niebieski bawełniany szmatek w obu rękach ciska go ze wstrętem pod wieszadło u drzwi stojące. Nie może w tej chwili dać dobitniejszego wyrazu oburzeniu swemu i swej wielkiej wzdgardzie.

Ale Kuntz Wunderli stoi tymczasem przed publicznością zawstydzony, zgnębiony, odarty z uroku. Teraz dopiero można się przypatrzyć jego kolanom, tak ku przodowi wygiętym, że cała postać przysiadac się zdaje, teraz można widzieć jego wykręczone, ciężkie stopy i jasnokościste łokcie. Najzabawniejsze wszakże wrażenie robi szyja starego. Jest ona tak cienką, że zdaje się, biczem przetrzasnąć by ją można. W ogóle czyni ona starego podobnym do oskubanego ptaka, a to tym bardziej, że nie podparta sztywnym fontaziem głowa wydaje się przy tej cienkiej, zwiędłej szyi niepomiarownie wielka i ciężka. Opada to na jedną, to na drugą głęboko zakłętą jamę obojczyka.

Wesołość teraz wybucha na sali, jedni śmieją się dobroduszenie, drudzy złośliwie, poglądając przy tym na Tödi Mayera. Najlitościwsi kiwają głowami i uśmiechają się z lekka. - Ecce homo! - odzywa się kotlarz Kissling, który ma brata dozorcę w kantonalej bibliotece i darmo czytuje książki.

Szeroki wybuch śmiechu przyjmuje to porównanie. Większość mniema, iż jest to przymówka do szczytu wznoszącego się poza Mythenami, Dużym i Małym, który się

“Esse liomo” zowie, w przeciwieństwie do sękatego Pilatusa; w zgromadzeniu są tacy, którzy górę tę widzieli z bliska:

Stary nie ma wprawdzie żadnego podobieństwa do jakiegokolwiek szczytu, ale jest to tym śmieszniejsze!

Jeden Tödi Mayer nie bierze udziału w ogólnej wesołości. Okrągłe jego, wypukłe i błyszczące oczy obiegają postać starego nędzarza, jak, gdyby każdą z jego wyschłych i struchlałych kości czyniły odpowiedzialną za tak wielki zawód. Oczyma tymi świdruje go jak fałszywy szeląg, roztrząsa jak stary łachman, przenika go do ostatniej żyłki; do resztki tchu w piersiach.

- Cofam słowo! - woła wreszcie. - Nie mogę brać tak mało!

- Nie wolno słowa cofać! - rzecze z powagą pan radca.

- Jak to nie wolno? Woźny nie przybił jeszcze..

- Nie przybił! Nie przybił! - potwierdzają głosy z ławy, po czym ucisza się nagle.

10

Wszyscy czekają, jaki obrót sprawa weźmie Pan radca jest niekontent. RzUCA on na obecnych spojrzenie spod oka, marszczy piękne czoło i ciągnie na dół to jednego, to drugiego węża.

- W takich łachmanach nie wezmę dziada i za sto osiemdziesiąt franków! - woła rezolutnie Tödi Mayer czując za sobą zgodę całej sali.

- Ja bym nie brał i za dwieście - popiera go kum Spengler.

- Co to dwieście! To i dwieście dziesięć nie byłoby nadto! Dodaje oberżysta z Mainau.

Stary Wunderli słucha tego i dusza w nim truchleje Co to będzie? A to może nikt i wziąć nie zechce? A potem, dlaczego tyle aż chcą brać? Dlaczego aż tyle?

Wielki niepokój i wielkie zdumienie odbija się w jego nędznej twarzy. Coraz wyżej podnosi brwi siwe, patrząc w ziemię, a głowa coraz szybszym ruchem opada mu to na jedno, to na drugie ramię.

- No, panie Tödi Mayer! - odzywa się urzędnik pojednawczo - Nie rób pan żartów i kończmy, moi panowie

- Dobrze! - woła energicznie ślusarz - wezmę, ale za równe dwieście!

- Co znowu! Co znowu! - odzywa się tracąc cierpliwość pan radca - Skąd gmina może takie sumy płacić? Czy panowie myślicie, że gmina siedzi na złocie? Moi panowie, gmina nie siedzi na złocie. Gmina musi się liczyć z groszem. Gmina ma wydatki, duże wydatki! Miłosierdzie, moi panowie, jest dla niej rzeczą świętą, ale i w miłosierdziu miarę zachować należy!

Jeszcze pan radca nie domówił ostatniej sylaby, kiedy drzwi otwierają się szeroko i wchodzi Probst. Jest to tęgi mężczyzna z grubym karkiem i szeroką czerwoną twarzą. Jego brunatny, rozpięty spencer pokazuje pierś potężnie rozrosłą i kołyszący się na niej łańcuszek ze srebrnych ogniwek. Spod niskiego tłustego czoła świecą małe, bystre oczy; rudawe, kędzierzawe włosy zarastają mu głęboko skronie. Probst idzie śmiało i macha wielkimi rękami, które mu po bokach wiszą zaciśnięte w kulkę; miejsca sobie wszakże robić bynajmniej nie potrzebuje, gdyż każdy usuwa się przed nim z pewnym rodzajem respektu. Człowiek jest silny, tęgi, ma spojrzenie ponure i zuchwałe. Z takim nie zaczynać lepiej. Probst dochodzi do balasków, kłania się urzędnikowi i kiwnięciem głowy pozdrawia kilku obecnych.

Pan radca wybaczyć mu zechce... Spóźnił się, ale nie winien temu. Ten przekłety parobek, którego po starym Hänzlim wziął, rozchorował mu się jak na złość... Sam dziś mleko rozwozić musiał, a to piekielny kawał z góry i pod górę.

Pan radca słucha przytakując; pozdrowieni uśmiechają się życzliwie i kręcą głowami.

- Sam rozwozić musiał?.. No, no! Kawał drogi!

Przez otwarte okno słysząc głośne naszczekiwanie psa, którego wszyscy znają; trzy razy dziennie przybywa on z mlekiem, zaprzężony do wózka pełnego wysokich blaszanek. Probst piękną oborę ma... Piękną oborę!

I nagle przejmuje ich uczucie poważania dla tych tęgich pięści i grubego karku.

Spengler odwraca się od Tödi Mayera i na Probsta patrzy; ślusarz czuje się już przez samo przybycie mleczarza jakby na pół pobitym. Patrzy to na jednego, to na drugiego z obecnych niby obojętnie; w rzeczy samej żał mu, że targu nie przybił: Ano da się to widzieć, co będzie!

Ale Probst czasu nie traci. Opiera się ściśniętą pięścią o balaski, wyciąga grubą szyję i skubiąc żółto zarastający podbródek zmruża bure oczy i celuje nimi w starego jak wylotem fuzji.

Kissling i Dödöli trącają się łokciami.

- Jak ten patrzy! Jak ten, bestia, patrzy! Toć chwała Bogu, każdy oczy ma, a nikt tak nimi człowieka nie umie na wskroś brać! Ten się zna! No, już ten się zna!

Tymczasem izba przybiera całkiem inny pozór.

Czują wszyscy, że przybył koneser. twarze się ożywiają, ci, co siedzieli na ławie, powstają i przystępują bliżej. Chwila zaczyna być naprawdę interesująca Ale Kuntz Wunderli na widok Probsta

porusza się niespokojnie, nerwowo. Wie "on, że Hänzli, tak samo z gminy wzięty, po trzech miesiącach powiesił się u Probsta na strychu.

Pamięta, jak Probstowa po nim sprzedawała buty. Pamięta też, jak stary Hänzli 11

obtarte miał od szlej ramiona i jak mu u Probsta oczy zapadły, a twarz szerniała i wyschła. Kurczy się stary, głowę w ramiona chowa, przyciska do boków kościste łokcie, staje się małym, bardzo małym, tak małym, że go i niewiele widać chyba. Co prawda rad by się pod ziemię całkiem, całkiem schować. Boi się tchnąć, boi się poruszyć, nawet kolana z wielkiego natężenia dygotać mu przestały.

Ale Probst zna się na tym wszystkim dobrze. Licytuje przecież tych hultajów od sześciu czy siedmiu lat w gminie. Wie on, że taka starota to jak pęknięty garnek: odrutuj, a czasem i za nowy trwa. Bądź co bądź najtańszy to robotnik, jakiego znaleźć można. Czy złością, czy dobrocią zawsze się z niego tyle roboty wyciśnie, ile zej, a co gmina doda, to jakby znalazł.

Sarkają ludzie, że cenę inszym psuje. A co mu tam, byle sobie nie psuł. Niech każdy pilnuje swego, i już.

Przekrzywia tedy Probst w jedną stronę ciężką swoją płaską głowę, przekrzywia w drugą, a potem spojrzawszy bystro w twarz urzędnika rzecze silnym dobitnym głosem:

- Sto dwadzieścia pięć!

Słowa te wywołują silne wrażenie. Najobojętniejsi nawet kręcą głowami z podziwu. Daj go katu! A to i nie pyta, co kto święci, tylko swoją kozerą wali z góry jak armatnią kulą!

W sali robi się wielka cisza, w którą wpada natarczywe, zajadłe szczekanie psa pozostawionego przede drzwiami przy mleczarskim wózku. Stary Wunderli pogląda na lewo i na prawo, jakby szukał okiem, którędy ma uciec. Nie ucieka wszakże: stoi, jakby skamieniał, jakby wrósł w podłogę. Tylko coraz niżej opada mu dolna szczeka, a oczy otwierają się coraz szerzej.

- Sto dwadzieścia i pięć: - woła Probst raz jeszcze.

Pan radca promieniuje. Chwilę wodzi po obecnych ożywionym wzrokiem, a gdy nikt nie podbija mleczarza, uderza białą ręką, w leżące przed nim papiery i daje znak woźnemu.

- Po raz pierwszy! - mówi woźny stukając laską w ziemię i ucicha.

- Po raz drugi! - mówi głośniej jeszcze, a stary Kuntz Wunderli zmruża nagle oczy i kurczy się boleśnie, jakby kij przybijający dzieło miłosierdzia gminy. W niego miał uderzyć.

- I-po-ra-trzeci: - woła razem z woźnym tryumfujący pan radca, W chwilę potem Kuntz Wunderli stoi u dyszla mleczarskiego wózka trzęsąc swą nędzną, starą, siwą głową i usiłując drżącymi rękami przełożyć przez siebie parcianą szleję. Z drugiej strony dyszla rzuca się w podskokach silny kudłaty pies w takiejże uprzęży, ujadając głośno, donośnie.

Mendel Gdański

Od wczoraj jakiś niepokój panuje w uliczce. Stary Mendel dziwi się i częściej niż zwykle nakłada krótką fajkę patrząc w okno. Tych ludzi nie widział on tu jeszcze Gdzie idą? Po co przystają z robotnikami, śpieszącymi do kopania fundamentów pod nowy dom niciarza Greulicha? Skąd się tu wzięły te obszarpane wyrostki? Dlaczego patrzą tak po ścianach? Skąd mają pieniądze, że idą w pięciu do szynku?

Stary Mendel kręci głową, smocząc mały, silnie wygięty wiśnio wy cybuszek. On zna tak dobrze tę uliczkę cichą. Jej fizjonomię, jej ruch, jej głosy, jej tętno.

Wie, kiedy zza którego węgła wyjrzy w dzień pogodny słońce; ile dzieci przebiegnie rankiem, drepcząc do ochronki, do szkoły; ile zwiędłych dziewcząt w ciemnych chustkach, z małymi blaszeczkami. w ręku przejdzie po trzy, po cztery do fabryki cygar na robotę; ile kobiet przystanie z koszami na starym wytartym chodniku, pokazując sobie zakupione jarzyny, skarżąc się na drogość jaj, mięsa i masła; ile wyrobników przeczłapie środkiem bruku, ciężkim chodem nóg obutych w trepy, niosąc pod pachą węzełki, a w ręku cebrzyki, kielnie, liny, siekiery, piły. Ba, on i to nawet wie może, ile wróbli gnieździ się w gzyskach starego browaru, który panuje nad uliczką wysokim, poczeriałym kominem - w gałęziach chorowitej, rosnącej przy nim topoli, która nie ma ani siły do życia, ani ochoty do śmierci i stoi tak czarniawa, przez pół

uschnięta, z pniem spustoszożonym, z którego na wiosnę wynika nieco bladej zieloności.

On, może nawet, nie patrząc w okno, samym uchem tylko rozpoznałby, czy Paweł, stróż, zamiata ulicę nową swoją czy też starą miotłą.

I jak tego wszystkiego nie ma Mendel Gdański wiedzieć, kiedy już od lat dwudziestu i siedmiu w tej samej izbie, pod tym samym oknem swój warsztat introligatorski ma i tak już przeszło ćwierć wieku przy nim w fartuchu swoim skórzanym stoi, a podczas kiedy sucha, żylasta, a dziś już nieco drżąca ręka dociska drewnianą śrubę prasy, oczy jego spod brwi gęstych, nawisłych, siwych patrzą w tę uliczkę, która jest wśród wielkiego miasta, jakby odrębnym, zamkniętym w sobie światem.

Świata tego drobne tajemnice zna Mendel na wylot. Wie, kiedy się powiększa, a kiedy zmniejsza kaszel starego archiwisty, który mu przynosi do oprawy grube, pełne kurzu foliały zatęchłych papierów, wie, jak pachnie pomada małego dependenta, któremu zszywa akta pana mecenasa; wie, kiedy przyjdzie Joasia od pani radczyni z żądaniem, aby jej za "śkło pięknie wsadził" laurkę z powinszowaniem, na której złocisty anioł odkrywa się i pokazuje kawalera z bukietem róż w ręku; wie, kiedy nie je obiadu student mieszkający na strychu, wie, z której strony nadbiegnie zdyszana pensjonarka żądając, aby jej "niebiesko i ze złotymi sznurkami" oprowił przepisane na listowym papierze poezje Czesława i Gawalewicza.

On wszystko wie. Wszystko, co można widzieć na lewo i na prawo siwym, bystrym okiem, co można na prawo i na lewo usłyszeć uchem i co przemyśleć można długimi godzinami, stukając jak dzieciół młotkiem introligatorskim, równając i obcinając wielkie arkusze papieru, warząc klej, mieszając farby.

I jego też znają tu wszyscy. Obcy człowiek rzadko zajrzy; każdy jakby swój, jakby domowy.

Stary, łysy zegarmistrz z przeciwka przez otwarte okno krzyczy mu latem “dzień dobry” i pyta o Bismarcka; suchotniczy powroźnik zaczyna o jego klamkę swoje długie, konopne sznurki, które dysząc kręci w wąskiej wpółwidnej sionce kamieniczki; chudy student z facjatki, z nogami jak cyrklowe nożyce, wsadza zmierzchem w jego drzwi głowę na długiej, cienkiej szyi i pożyczka od niego łożówkę; którą “zaraz odda, tylko jeszcze z godzinkę popisz”... Straganiarka poda mu czasem przez okno 13

rzodkiew czarną, w zamian za kolorowe skrawki papieru, z których sobie jej chłopaki sporządzają latawce słynne na całą ulicę; synek gospodarza całymi godzinami prze siedzi u niego czekając na wolną chwilę, w której Mendel da mu tektury do podklejenia wyciętych z arkusza żołnierzy, a tymczasem dziwuje się wielkim uszom nożyc, waży w ręku młotek, wtykając nos w garnczek z klajstrem, próbując go niemal. Wszystko to tworzy jakąś atmosferę ciepłą poufałą atmosferę wzajemnej życzliwości. Staremu Mendlowi dobrze w niej być musi. Mimo sześćdziesięciu i siedmiu lat rześki jest jeszcze w sobie. Spokój i powaga maluje się na jego zwiędłej w trudach twarzy.

Włosy jego są mocno siwe; a długa broda zupełnie siwa. Pierś zakłęśta pod pikowanym kaftanem często zadychuje się wprawdzie, a grzbiet zgarbiony nigdy jakoś nie chce rozprostować, ale tym nie ma się co trapić, póki nogi i oczy starczą, póki i w ręku siła jest. Kiedy mu duszność dech zapiera, a w zgiętym grzbiecie ból jakiś krzyże łamie, stary Mendel nakłada w małą fajeczkę tytoń z poczeriałego, związanego sznurkiem pęcherza i kurząc ją, wypoczywa chwilę. Tytoń, którego używa, nie jest zbyt wyborny, ale daje taki piękny, siny dymek i tak Mendlowi smakuje. Siny ten dymek ma i to jeszcze w sobie szczególnego, że widać w nim różne rzeczy oddalone i takie, które już dawno minęły.

Widać w nim; i Resię, żonę jego, z którą dobrze mu było na świecie przez trzydzieści lat, i synów, którzy się za chlebem rozbiegli jak te liście wichrem gnane, i dzieci synów tych, i smutki różne, i pociechy; i troski; a już najdłużej to w nim widać jego najmłodszą dziewczynę Liję; tak wcześniej wydaną i tak Wcześniej zgasłą, po której mu tylko jeden wnuk pozostał. Gdy stary Mendel rozpala swoją fajeczkę, jakieś ciche mruczenie dobywa się z ust jego. W miarę jak pali i jak dymek siny przynosi mu dalekie obrazy i takie, które już nigdy nie wrócą, mruczenie to rośnie, potężnieje, staje się jękiem niemal. Ta dusza ludzka, dusza starego Żyda, ma też smutki swoje i tęsknoty, które zagłusza pracę.

Tymczasem sąsiadka przynosi w jednej ręce garnczek z rosółem, w którym pływają kawałki rozmięklej bułki; a w drugiej przykryty talerz z mięsem i jarzyną: Mendel odbiera od niej ten skromny obiad; nie je go wszakże, tylko postawiwszy na małym żelaznym piecyku czeka. Czekanie to trwa niedługo. O samej drugiej drzwi izdebki otwierają się głośno, hałaśliwie, a w nich ukazuje się mały gimnazista; w długim, na wyrost sporządzonym szynelu, w dużej, zsuniętej na tył głowy czapce, z tornistrem na plecach: Jest to chłopak dziesięcioletni może, który po matce, najmłodszej córce starego Mendla, wziął piwne o złocistych blaskach oczy, długie, ciemne rzęsy i drobne usta, a po dziadzi nos orli i wąskie wysokie czoło Szczupły i mały chłopak mniejszym się jeszcze i szczuplejszym wydaje, kiedy zrzuci szynel i zostanie tylko w szkolnej, szerokim pasem przepasanej bluzie. Stary Mendel jest w ciągłej o niego obawie. Przezroczy sta cera chłopca, jego częsty kaszel, jego wątłe piersi i pochylone barki budzą w dziadzie nieustanną troskę. Wybiera też dla niego

najlepsze kawałki mięsa, dolewa mu i dokłada na talerz, a kiedy chłopak się naję; klepie go po ramieniu i zachęca do zabawy z dziećmi w podwórku.

Malec rzadko kiedy namówić się pozwala Jest zmęczony lekcjami, ciężkim szynem, siedzeniem w szkole; drogą; dźwiganiem tornistra, i ma też dużo zadań na jutro. Powłóczy nogami chodząc, a nawet wtedy, kiedy się uśmiecha, piwne jego oczy patrzą z melancholią jakąś.

W kilka chwil po obiedzie malec: zasiada przy prostym, sosnowym stole, dobywając z tornistra książki i zeszyty, a stary Mendel zabiera się do swego warsztatu.

Choć chłopak cicha się sprawia i tylko szeptem półgłównym powtarzając lekcje kiedy niekiedy za ledwie stuknie stołkiem, na którym się buja podparłszy na stole oba chude: łokcie, znać przecie, że staremu introligatorowi przeszkadza coś w robocie. Co i raz odwraca on głowę by spojrzeć na chłopca, a choć po klajster ręką sięgnąć może, obchodzi z boku warsztat, gdy mu go potrzeba, aby po drodze uszczypnąć wnuka w liczko blade, przejrzyste lub pogłaskać go po krótko przyciętych, miękkich i ciemnych jak krecie futerko włosach. Chłopiec przyzwyczajony jest widać do tych pieszczot, nie przerywa przy nich bowiem ani swego żarliwego szeptu, ani kołysania się na stołku.

Stary introligator wszakże zupełnie i tym jest zadowolony, a przyciszając klapanie pantofli powraca na palcach do swego warsztatu.

14

W piątek przed wieczorem scena się odmienia: malec uczy się przy oknie, kołysząc się mozolnie na stołku nie mającym tu swojego rozpędu, a na sosnowym, pokrytym serwetą stole sąsiadka zastawia rybę, makaron i tylko co przyniesioną od piekarza tłustą, pięknie zrumienioną kaczkę. Cynowy, o dziwnie powykręcanych ramionach świecznik z gałkami oświeca izbę uroczyście, świątecznie. Stary Mendel ma na sobie wytarty już nieco, ale jeszcze piękny żupan czarny, przepasany szerokim pasem, za który z lubością zakłada spracowane ręce. Siwe jego włosy, pokrywa jarmułka, a skrzyp nowych, z długimi cholewami butów napęlnia izbę jakimś radosnym szemrem. Gdy już stół zastawiony został, chłopak się myje, przyczesuje swoje krecie futerko na ozdobnej, podłużnej główinie, zapina świeży kołnierzyk i czyste mankiety, a założywszy ręce w tył, stoi poważny i wyprostowany, podczas kiedy, dziad sięga na półkę po zwinięty tałes i po modlitewnik.

W chwilę potem rozlega się wargowy, brzęczący śpiew modlitewny starego Żyda głos jego przechodzi wszystkie spadki od niskich, śpiewem brząjących, do wysokich, na których śpiew jego przechodzi w jęk i żarliwy jakiś lament, w akcenty namiętne, błagalne, łkające. Pod wpływem śpiewu tego mały gimnazista odczuwa dreszcz nerwowy, blada jego twarzyczka staje się bledszą jeszcze, wielkie oczy to rozszerzają się nad miarę, to mrużą się i zachodzą łzami; patrzy na dziada jakby urzeczony, a spazmatyczne ziewanie otwiera mu usta. Na szczęście dziad zamyka wkrótce stary modlitewnik i błogosławieństwem rozpoczyna szabasową ucztę.

Zdarzyło się raz latem, że chłopaki od Kołodziejskiego ślusarza i od szewca Pocieszki zebrali się przed otwartym oknem starego introligatora, a zaglądając przez nie do oświetlonej szabasowym światłem izby robili sobie z tej modlitwy śmieszki i głupią uciechę.

W tej chwili wszakże przechodził tamtędy stary proboszcz, a spojrzawszy przelotnie w okno i widząc modlącego się Żyda, który z takim jękiem wołał po swojemu do Boga, uchylił kapelusza. Scena była niema, ale nad wyraz wymowna.

Chłopaki zemknęły, jakby ich wiatr zdmuchnął, i nie było odtąd wypadku, aby spokój tej ubogiej izby zamieszany został.

Przedwczoraj dopiero...

Właściwie i przedwczoraj nie stało się nic. Tylko malec powrócił ze szkoły bez czapki, zdyszany, jak zając zgoniony. Zrazu nic mówić nie chciał; dopiero po długich badaniach wyznał, że jakiś obdartus krzyknął na niego "Żyd!.. Żyd!...", więc on uciekał

i czapkę zgubił, i nie śmiał wracać po nią.

Fala gniewu uderzyła staremu Mendlowi do twarzy. Wyprostował się, jakby urósł

nagle, splunął, a potem chłopaka twardo za ramię ująwszy, do stołu pchnął i obiad w milczeniu spożył.

Po obiedzie nie wrócił do warsztatu i fajki nie nakładał, tylko sapiąc po izbie chodził. Malec także do lekcji się nie brał, ale patrzył na dziadka zalęknionym wzrokiem. Nigdy go jeszcze tak gniewnym nie widział.

- Słuchaj ty! - przemówił wreszcie stając przed chłopcem Mendel. - Jak ja ciebie małego sierotę wziął i chował, i za niańkę także był, i za matkę także był, i piastował

ciebie, nu, to nie na to ja ciebie chował i nie na to piastował, co by ty głupi był! I jak ja ciebie uczyć dał, jak ja ciebie do szkoły posyłał, jak ja tobie książki kupował, to też nie na to, co by ty głupi był! A ty ze wszystkim głupi rośniesz i nie ma u ciebie żadnej mądrości! Jakby u ciebie mądrość była, to by ty tego nie wstydział się, nie płakał, nie uciekał, że kto na ciebie "Żyd" krzyknie. A jak ty tego płaczesz, jak ty uciekasz i jeszcze taką piękną, nową czapkę gubisz, co pięć złotych bez sześciu groszy kosztuje gotówką, pieniędzmi, nu, to ty ze wszystkim głupi jesteś, a te szkoły, te książki, te nauki to wszystko na nic!

Odsapnął i znów mówić zaczął:

- Nu, co to jest Żyd? Nu, jaki ty Żyd? - mówił już łagodniejszym głosem. - Ty się w to miasto urodziłeś, toś ty nieobcy, toś swój, tutejszy, to ty prawo masz kochać to miasto, póki ty uczciwie żyjesz. Ty się wstydzisz nie masz, żeś Żyd Jak ty się wstydzisz, żeś ty Żyd, jak ty się sam za podłego masz, dlatego żeś Żyd, nu, to jak ty możesz jakie dobro zrobić dla to miasto, gdzie ty się urodziłeś, jak ty jego kochać możesz?...

Nu?...

Zachłysnął się i znów przed chłopakiem stanął. Tym razem jednak patrzył na jego złężnioną twarzyczkę z jakimś rozrzewnieniem Położył mu na głowie rękę i rzekł

z naciskiem:

- Uczciwym Żydem być, jest piękna rzecz! To pamiętaj sobie! A teraz się ucz, żeby ty głupim nie był, a czapkę to ja tobie inszą kupię, to ty nie potrzebujesz płakać, bo to głupstwo jest.

Malec pocałował w rękę dziada i wziął się do książek. Stary introligator bardziej jednak był poruszony tą sprawą, niż to chciał dziecku okazać. Długo bowiem po izbie chodził nie kończąc pilnej, zaczętej roboty i spluwając po kątach, jakby się goryczą jaką nakarmił. Nie przetrawił on tej goryczy w sobie i przez noc widocznie, gdyż bardziej zgarbiony i postarzały niż zwykle nazajutrz wstał; kiedy chłopiec podpiąwszy rzemienie tornistra do szkoły ruszył, stary po szedł do okna i patrzył za nim niespokojnie, długo.

Niepokój ten nie opuszczał go i przy pracy nawet Częściej niż zwykle pod wpływem jakiegoś rozdrażnienia nakładał krótką fajeczkę i podchodził do okna, i patrzył podejrzliwie w tak dobrze, tak dawno znaną sobie uliczkę Pod wpływem też tego rozdrażnienia zapewne ruch jej, jej głosy, jej tętno inne mu się jakieś niż zwykle wydały.

Gdy jednak malec powrócił ze szkoły wesół, bo piątkę dostał, rozbawiony nową czapkę, która mu na oczy wjeżdżała, stary o swoich przywidzeniach zapomniał i czy to sam dla siebie, czy dla uciechy dziecka gwizdał przy robocie jak za młodych czasów.

Po obiedzie wpadł po akta dependent pachnący piżmem

- Co słyhać? - spytał.

- Wszystko dobrze, broń Boże ad złego! - odrzekł Mendel Gdański.

- Podobno Żydów mają bić? rzucił pachnący dependent z głupkowatym uśmiechem.

- Nu, jak bić, to bić! -- odrzekł Mendel pokrywając wrażenie, jakie na nim te słowa wywarły. - A kto ich ma bić? Urząd?...

- I... urząd by tam - roześmiał się mały dependent.

- Nu, jak nie urząd, to i chwała Bogu! - rzekł Mendel.

Roześmiali się obaj. Młody dependent głupkowato, Żyd z przymusem widocznym Zły był, że ta rozmowa toczyła się przy dziecku: Spojrzał na chłopca spod brwi nasuniętych. Malec wlepił w dependenta wielkie swoje oczy i dopiero kiedy ten za progiem był, spuścił je na karty książki, pociemniałe, pałające. Stary Mendel jakby nie widział tego, zaczął znowu gwizdać. Ale gwizdanie to miało coś w sobie ze świstu przy tłoczonyj wielkim ciężarem piersi, nuta przycichła, głuchła, zasypiała, aż urwała się zgrzytem czy jękiem.

Zmierzchało już w izbie, kiedy przez niskie drzwi wcisnął się gruby zegarmistrz w popielatym

haweloku, jakiego stale używał w tej porze.

- Słyszałeś pan nowinę? - zapytał siadając na brzegu stołu, przy którym uczył się malec.

- Nu - odparł Mendel - co mnie po nowinów? Jak ona będzie dobra, to ona i wtedy będzie dobra, kiedy ona nie będzie nowina, a jak zła, nu, to na co ja ją słuchać mam?

Podobno Żydów mają bić - rzekł tłusty zegarmistrz kiwając nogą w wyciętym trzewiku z błyszczącą stalową sprzączką.

Stary Mendel zamrugał kilka razy nerwowo, koło ust przebiegło mu nagle drgnięcie. Wnet opamiętał się jednak i przybrawszy ton jowialnej dobroduszości rzekł:

- Żydów? Jakich Żydów? Jeśli tych, co uni złodzieje są co uni ludzi krzywdzą, co uni po drogach rozbójstwo robią, co uni z tego biednego skórę ciągną, nu to czemu nie? Ja sam pójde ich bić!

- Ale nie! - roześmiał się zegarmistrz. - Wszystkich Żydów...

W siwych źrenicach Mendla zapalił się błysk nagły. Przygasił go jednak współpuszczoną powieką i niby obojętnie zapytał:

- Nu, za co oni mają wszystkich Żydów bić?

- A za cóż by? - odrzucił swobodnie zegarmistrz. - Za to, że Żydy!

16

- Nu - rzekł Mendel mrużąc siwe oczy - a czemu uni do lasa nie idą i nie biją brzeziny za ta, że brzezina, albo jedliny za to, że jedlina?.

- Cha! elha! - roześmiał się zegarmistrz - każdy Żyd ma swoje wykręty! Przecie ta jedlina i ta brzezina to nasze, w naszym lesie, z naszego gruntu wyrosła!

Mendel aż się zachłysnął, tak mu odpowiedź na usta nagle wykipiała. Pochylił się nieco ku zegarmistrzowi i głęboko zajrzał mu w oczy.

- Nu, a. ja z czego wyrósł? A ja z jakiego gruntu wyrósł? Pan dobrodziej mnie dawno zna? Dwadzieścia i siedem lat mnie pan dobrodziej zna! Czy ja tu przyszedł jak do karczmy? Zjadł, wypił i nie zapłacił? Nu, ja tu nie przyszedł jak do karczmy! Ja tu tak w to miasto urósł jak ta brzezina w lesie! Zjadł ja tu kawałek chleba, prawda jest.

Wypił też wody, i to prawda jest. Ale za tego chleba i za tej wody ja zapłacił. Czym ja zapłacił? Pan dobrodziej chce wiedzieć, czym ja zapłacił?

Wyciągnął przed siebie obie spracowane, wyschłe i żylaste ręce

- Nu - zawołał z pewną porywcznością w głosie - ja tymi dziesięciu palcami zapłacił! Pan dobrodziej

widzi te ręce?

Znów się pochylił i trząsał chudymi rękami przed błyszczącą twarzą zegarmistrza.

- Nu, to takie ręce są, co ten chleb i te wode próżno do gęby nie nosiły! To takie ręce są, co się pokrzywiły od noża, od obcęgow,, od śruby, od młota. Tu, ja nimi zapłacił za każdy kęs chleba i za każdy kubek wody, co ja tu jadł i wypił. Ja jeszcze i te oczy przyłożył, co już dobrze patrzeć nie chcą, tego grzbietu, co nie chce już prosty być, i te nogi, co nie chcą mnie już nosić!

Zegarmistrz słuchał obojętnie, bawiąc się dewizką. Żyd sam się roznamiętniał swą mową.

- Nu, a gdzie ta zapłata moja jest? Ta zapłata moja jest w szkole u ćlzieci, u tych paniczów, u te panienki, co się uczą na książkę, co piszą na kajetu, nu. Una i w kościół

jest, jak tam z książkami ludzie idą... Nu, una i u wielmożnego proboszcza jest, bo ja i jemu oprawiał książki, niech un zdrowy żyje!

Tu uchylił jarmułki, a potem dodał: ·

- Moja zapłata w dobrych rękach jest!

- Tak się to mówi - odparł dyplomatycznie zegarmistrz - ale Żyd zawsze Żydem!..

Nowe iskry zagorzały w oczach starego introligatora.

- Nu, a czym un ma być? Niemcem ma być? Francuzem ma być?.. Może un koniem ma być? Nu, ho psem un już dawno się zrobił, to un już jest!

- Nie o to chodzi! - rzekł patetycznie zegarmistrz. - Chodzi, o to, żeby nie był on obcy!..

- O to chodzi? - odparł Żyd przechylając się w tył i cofając łokcie. - Nu, tn niech mi tak od razu pan dobrodziej powiada! To jest mądre słowo! Ja lubię słyszeć mądre słowo! Mądre słowo to jest jak ojciec i jak matka człowiekowi. Nu, ja za, mądre słowo to bym milę drogi szedł. Jak ja mądre słowo usłyszę, to mnie za chleb star czy. Jakby ja wielki bogacz był, wielki bankier, nu, to ja by za każde mądre słowo dukata dał. Pan dobrodziej powiada, co by Żyd nie był obcy. Nu, i já tak samo powiadam. Czemu nie?

Niech un nie będzie obcy. Na co un obcy ma być, na co ma obcym się robić, kiedy un i tak swój? Pan dobrodziej myśli, co jak tu deszcz pada, to un Żyda nie moczy, bo Żyd obcy? Albo może pan dobrodziej myśli, co jak tu wiatr wieje, to un piaskiem nie sypie W oczy temu Żydowi, bo Żyd obcy? Albo może pan dobrodziej myśli, że jak ta cegła z dachu Íleci, to una Żyda ominie, bo un obcy? Nu, to ja panu dobrodziejowi powinien, że una jego nie ominie. I wiatr jego nie ominie, i deszcz jego nie ominie! Patrz pan dobrodziej na moje włosy, na moje brode... Uny siwe są, uny białe są... Eo to znaczy?

To zna czy, co uny dużo rzeczy widziały i dużo rzeczy pamiętają. To ja panu dobrodziejowi powiem, co uny widziały wielgie ognie i wielgi pożar, i wielgie pioruny na to miasto bić, a tego, co by od te ognie i od ten pożar, i od te pioruny Żydy były uwolnione, to uny tego nie widziały! Nu, a jak noc jest na miasto, to una i na Żydów jest, to i na Żydów wtedy nie ma słońce!

Odetchnął głęboko, ciężko.

- Pan dobrodziej na zabawy chodzi? Pan dobrodziej na tańce bywa?

Gruby zegarmistrz skinął głową i zakołysał się na stole, brzęcąc dewizką.

17

Pochlebiało mu to, że introligator uważa go za człowieka światowego i mogącego jeszcze zabawiać się tańcami.

Żyd gorejącymi oczyma patrzył w jego twarz płaską, ozdobioną szerokim, mięsistym nasem.

- A srnutku swego, swego kłopotu pan dobrodziej ma?

Zegarmistrz podniósł brwi przebijając minę niezdecydowaną. Właściwie pragnął się on okazać wyższym nad podobne drobnostki jak kłopot i smutek, ale że nie, wiedział, do czego Żyd zmierza, milczał więc dyplomatycznie.

Stary introligator odpowiedzi też nie czekał, tylko mówił dalej głosem wezbranym, pełnym:

- Nu, jak pan dobrodziej na tańce bywa i swego smutku też ma, to panu dobrodziejowi wiadomo jest, że się ludzie do tańca, do wesołości zejda i po wesołości się rozejda, i nic. Ale jak te ludzie do smutku się zejda, jak się uni do płakania zejda, nu, to już nie jest nic. To już ten jeden temu drugiemu bratem się zrobił, bo już ich ten smutek jednym płaszczem nakrył. To ja panu dobrodziejowi powiem, co ja w to miasto więcej rzeczy widział do smutku niż do tańca i że ten płaszcz to bardzo duży jest. Ajaj, jaki un duży... Un wszystkich nakrył, i ze Żydami też!

Odwrócił się bokiem i spojrzał za siebie w okno.

- Mój panie Mendel - rzekł zegarmistrz tonem wyższości. Gada się to tak i owak; ale każdy Żyd byle pieniądze miał..

Stary introligator nie dał mu dokończyć, ale podniósłszy rękę trząsł nią, jakby cię od natrętnego owada opędzał.

- Niech mi pan dobrodziej nie powie te mowe! To jest mowa od wszystkich głupie ludzie. Jakby Żydowi pieniądz za wszystko miał być, to by jemu Pan Bóg od razu kieszeń w skórę zrobił, abo i dwie. A jak jemu Pan Bóg kieszeń W skórę nie zrobił, nu, to na to, że Żydowi pieniądz tyle ma być, co i każdemu.

- Ma być! - zawołał triumfalnie zegarmistrz p nosząc tłusty podbródek i muskając się po nim. - Ale

nie jest! W tym sęk, że nie jest..

Uśmiechnął się Mendel współsmętnie, a wpółfiluternie.

- A ja panu dobrodziejowi powiem, co tam właśnie sęka nie ma tylko jest dziure.

Ajaj, jakie dziure!

Spoważniał nagle i kiwał głową patrząc w ziemię.

- Pan dobrodziej myśli, co ja te dziure nie widzę. Ja ją widzę. Że una się zrobić mogła, to jest źle, ale że una dotąd nie załatana jest, to jeszcze gorzej. b V te dziure to dużo mocy wpada, i w słabość się obraca. I dużo rozumu wpada, a w głupstwo się obraca. I dużo dobroti wpada, a w złość się obraca... Chce mi pan dobro dziej wierzyć? Te dziure to nie Żydki zaczęły pierwsze drzeć. Nu że uni ją potem darli, to ja wiem, to ja nie skłamię, nie powiem, że nie! Ale najpierw to ją zaczęła drzeć zapomniałość na to, co wszystkie ludzie od jednego Boga stworzone są.

Złożył dwa pierwsze palce w rękę, jakby tabakę brał, a wystawi wszy mały dodawał tym gestem precyzji dowodzeniu swemu.

- To była pierwsza nitka, co tam w to miejsce pękła. Nu, tak jedni zaczęli do siebie ciągnąć, a drudzy znów do siebie i tak się już dalej rwało. Pan dobrodziej powiada, co dla Żyda pieniądz wszystko jest Nu, niech i tak będzie! A wie pan dobrodziej czemu? Nie wie pan dobrodziej? Pan dobrodziej myśli, temu, że Żydki chytre są? To się pan dobrodziej myli. Pan dobrodziej zna ten słup na Ujazdów? Nu, pan dobrodziej się śmieje! To tam na ten słup położony będzie honor i mądrość, i wielga sławność. i wielgie herby, i wielga familia, i wielgie urzędy, i pieniądze też, nu, to jeden wlizie na słup po ten hunor, a drugi po te mądrość, a trzeci po te herby, a czwarty po te sławność, a i taki się znajdzie, co po te pieniądze wlizie, choć insze rzeczy przy nich są. Ale jak ten słup położone będą tylko pieniądze, a nie będzie ani hunoru, ani sławności, ani mądrości, to po co ludzie będą na ten słup liźć? Jak pan dobrodziej myśli? Po pieniądze uni będą liźć i po co więcej. A te z dołu, co się przypatrują, to będą krzyceć: "Ajaj, jaki to chytry naród, po pieniądze tylko lizie, pieniądze u niego wszystko!" A im kto mniejszy będzie albo na głębszym dołu stał, to mniej widzieć będzie, a głośniej jeszcze krzyceć. A tylko te wysokie ludzie, te na górze stojące widzieć będą, co na ten słup nic innego położone nie jest i tym, co po to 18

liza, co tam położone jest, nie będą się dziwowali, a krzyceć to úni też nie będą. Co na nasz słup leży? Pieniądze tylko leżą, tak my po pieniądze idziem. Ale to nie jest pierwsze złe. Pierwsze złe to jest takie, co dwa słupy są i co po nich nierówne rzeczy leżą.

- Jeszcze by! - roześmiał się impertynencko zegarmistrz.

- W teorii zresztą; dodał poważniej - masz pan może i słuszność. Ale w praktyce inaczej to się okazuje. Was, Żydów, lęgnie się jak tej szarańczy, a zawsze to żywiol

cudzy...

Stary intrologator znów zamrugał nerwowo razy kilka i znów siwe swoje oczy w połowie rzęsami

przysłonił.

- Mądry człowiek, choćby w garści dwa kamienie miał i trzy choćby miał, to tylko jednym w psa ciska. A pan dobrodziej dwoma kamieniami od razu cisnął na starego Żyda... Ale to nic nie szkodzi. Ja ten jeden podniosę i ten drugi też podniosę. Mój grzbiet już się sam do ziemi schyla...

Musnął dwa razy białą swą brodę i pomyślawszy chwilę rzekł:

- Pan dobrodziej wie, jak ja się nazywam? Nu, ja się nazywam Mendel Gdański.

Że ja się Mendel nazywam, to przez to, co nas było dzieci czternaście, a ja się piętnasty urodził, tu, na Stare Miasto, w te wąskie uliczke, zara za te żółte kamienice, gdzie apteka. Pan dobrodziej wie? Nu, jak ja się tam urodził, to nas było dzieci piętnaście, cały mendel. Przez to ja się Mendel nazywam. Czy nas ojciec nieboszczyk potopić miał? Nie miał nas potopić! Raz, że się un Pana Boga bał, a drugi raz, że un te swoje piętnaście dzieci tak kochał, że jak matka przyniosła śledź, to un tylko główkę sobie urwał, a całego śledzia to dzieciom dał, co by się najadły, co by nie były głodne.

Tak ich kochał.

Zachłysnął się. Poczzerwieniał, oczy mu się zapaliły nagłym przypomnieniem.

Wnet się jednak pohamował i mówił dalej z jowialnym uśmiechem, w którym gorzką ironię dostrzec było można.

- Ale ja, Mendel, wiedział, co mendlowi całemu źle na świecie, tak sam już tylko pół tuzina dzieci miał, a moja córka, Lija, nu, una tylko jednego syna miała i od boleści wielkiej umarła. Żeby ona żyła, a sześć synów miała, a patrzyła, na co ja patrzę, nu; to una by sześć razy od boleści umierać musiała!

Mówił szybko, coraz szybciej, głosem namiętnie przyciszonym, pochylając się ku zegarmistrzowi i przenikając go pałającym wzrokiem. Po chwili wyprostował się, wciągnął w starą pierś głęboki, ciężki oddech i uśmiechnąwszy się smętnie, rzekł:

- To już my go nie nazywali Mendel, to już my go nazwali Jakub.

- Kubuś, pójdź tu! -, zawołał, jakby pierwszy raz przypominając sobie obecność chłopca. A gdy malec wstał ze stołka i szastnąwszy buciętami przed zegarmistrzem, do dziada się przytulił, stary po głaskał go po głowie i rzekł:

- Kubuś to takie imię, co. go i pan dobrodziej, na ten przypadek, godnemu synkowi może dać. To jest takie imię, co to jak na tym sądzie króla Salomona niech nie będzie ani mnie, ani tobie: To dobre imię jest! Po te imię to jak po te kładke przejdą ludzie z te nie dobre czasy do te dobre czasy, kiedy jeden drugiemu nie będzie liczył w domu, dużo ma kołyski... Bo w te dużo kołyski dużo pracy jest i dużo głodu jest, i dużo mogiłki też... I nie na tym mądrość jest, co by mało ludzi było, ale na tym mądrość jest, co by uni dużo dobrego zrobili, dużo ziemi obsiali, dużo obkopali, dużo obsadzili. Co by uni dużo przemysłowców mieli, dużo rozumu się uczyli, dużo dobroci znali w sercu jeden dla

drugiego. Mnie jeden stary chłop powiadał, co jak bocian więcej dzieci ma; niż ich wyżywić może; to je dno albo dwa z gniazda zruć. Tak niech już pan dobrodziej kłopotu o to nie ma. To i nad ludźmi taka moc musi być, co te gęby, liczy i te ziarna w kłosie też...

Trząś siwą brodą, coraz silniej tuląc malca do swego boku..

- Nu, ja nie tylko nazywam się Mendel, ja jeszcze nazywam się Gdański. Nu, co to jest Gdański? To taki człowiek albo taka rzecz co z Gdańska pochodząca jest... Pan dobrodziej wie?.. Wódka gdańska jest i kufer gdański jest, i szafa gdańska jest... tak uny gdańskie mogą być, tak ja jestem Gdański. Nie jestem paryski, ani nie jestem wiedeński, ani nie jestem berliński - jestem Gdański. Pan dobrodziej powiada, co ja cudzy. Nu, jak to może być? Jak ja Gdański, to ja cudzy? Tak pan dobrodziej powiada?

19

Czy to tam już wyschła Wisła? Czy tratwy tam nie idą od nasze miasto? Czy tam te łapciuchy nasze flisy już nie są?.. To już wszystko cudze?.. To pan dobrodziej taki hojny? Nu, szkoda, co ja przód nie wiedział o tym, co pan dobrodziej taki hojny, bo ja bym poprosił pana dobrodzieja choć o połowę sklepu, choć o połowę te wszystkie zegarki, co tam są...

Zegarmistrz śmiał się i chwycił za boki.

- A niechże pana nie znam! A toś pan wywiódł sztukę, że i Bosko lepiej nie potrafi! Że Gdański, to już swój! Cha! cha! cha!...

Stary Żyd kiwał głową i uśmiechał się także. Filuteria sofisty błyszczała mu w oczach, ale uśmiech był gorzki, kolący...

-Mendel Gdański i Jakub Gdański - rzekł po chwili z powagą zwracając się do wnuka i jakby przekazując mu dostojność swojego nazwiska i swojej tradycji.

- Nu, co un jest ten Mendel Gdański? Un Żyd jest, w to miasto urodzony jest, w to miasto un żyje, ze swojej pracy, w to miasto ma grób ojca swego i matki swojej, i żony swojej, i córki swojej. Un i sam w to miasto kości swoje położy.

Nu; co un jest ten Kubuś Gdański? - ciągnął dalej, odsunawszy od siebie chłopca na środek izby na długość swej ręki i nie puszczając jego ramienia.

- Nu, un uczeń jest. Un w szkole siedzi, w ławkę przy swoich kolegi, un siedzi, w książkę patrzy, pisze, uczy się. Nu, na co un się uczy? Un się na to uczy, co by rozum miał. Nu, czy un ten rozum gdzie poniesie, jak un go będzie miał? Un go nigdzie nie poniesie, w obce miejsce. Un go nie poniesie do wody utopić ani do ognia spalić, ani do ziemi zakopać. Un tu mądry będzie, na ten kraj, na to miasto będzie rozum miał.

To będzie w ten kraj cały rozum, co by bez niego był; i jeszcze ten rozum będzie w ten kraj, co un go Kubuś będzie miał. Czy pan dobrodziej myśli, co to będzie zadość? Za dużo? Nu, pan dobrodziej takie głupstwo nie może myśleć. Nu, a jak un rozum będzie miał, to un będzie wiedział takich rzeczy,

jakie ja nie wiem i pan dobrodziej nie wie. Un może i to będzie wiedział, co wszyscy ludzie dzieci są od jednego Ojca i co wszyscy ludzie kochać się mają jak te bracia...

Przyciągnął do siebie na powrót chłopca, a objąwszy jego szyję pochylił się do zegarmistrza i szepnął:

- Bo to delikatne dziecko jest... sierota jest... bardzo miętkiego serca...

Pogłaskał chłopca po twarzy i dodał:

- Idź, kochanku, połóż się spać, bo jutro do szkoły pójdziesz.

Malec znów szastnął buciętami przed zegarmistrzem, dziada rękę do ust przycisnął i zniknął za pasową firanką dzielącą izbę od małej alkowy.

Stary Żyd łysnął oczami raz i drugi, zachłysnął się; unosząc brodę spytał:

- Nu, z przeproszeniem pana dobrodzieja, kto to powiadał, co Żydów mają bić?

Ja się przy to dziecko pytać nie chciał; żeby go broń Boże nie przestraszyć, bo to bardzo delikatne dziecko jest, ale teraz to ja się pana dobrodzieja o to też urazy spytam..

Uśmiechał się pochlebnie, ujmująco, siwe jego oczy patrzyły z przymileniem.

Zegarmistrz, zbity nieco z tropu poprzednimi wywodami Żydą, natychmiast uczuł swoją przewagę.

- Powiadają... - bąknął niedbale, wydymając wargi.

- Nu, kto powiada? - pytał Żyd, a oczy już z aksamitnych stawały się ostre, kłujące.

- Ludzie powiadają... - bąknął tym samym tonem zegarmistrz.

Stary Żyd odskoczył nagle na dwa kroki, ze zwinnością, której by się nikt w nim nie domyślał. Wzrok jego pałał, wargi parskwały, głowę postawił jak kozieł.

- Ludzie?... Ludzie powiadają? - pytał głosem syczącym, w co raz wyższe wpadającym tony. - Ludzie?..

I za każdym wymówionym wyrazem pochyłał się coraz bardziej naprzód, przysiadał niemal.

Zegarmistrz patrzył obojętnie, bawiąc się dewizką i kiwając nogą w trzewiku.

Uważał jednak, że ta postawa Żyda jest wobec niego niewłaściwą i śmieszłą.

- Cóż to pana tak dziwi? - zapytał chłodno.

Ale stary introligator już się uspokoił. Rozpatrywał się, ręce wparł w biodra, brodę wyrzucił do góry, oczy zmrużył.

- Pan dobrodziej się myli - rzekł. - Ludzie tego nie powiadają. To powiada wódka, to powiada szynk, to powiada złość i głupota, to powiada zły wiatr, co wieje.

Wzniósł rękę i machnął wzgardliwie.

- Niech pan dobrodziej śpi spokojnie. I ja będę spokojnie spał, ż to dziecko będzie spokojnie spało! Nasze miasto bardzo dużo smutku ma i bardzo dużo ciemności, i bardzo dużo nieszczęścia, ale na nasze miasto jeszcze to nie przyszło, co by się w nim ludzie gryźli jak psy. O to może pan dobrodziej spokojny być!

Zacisnął usta i sięgnął z powagą po ciężki cynowy lichtarz, jakby chciał zaraz świecić gościowi do sieni. Zsunął się pan zegarmistrz ze stołu, nacisnął hawelok, umocnił na głowie kapelusz, który mu gdzieś na kark zjechał, i rzuciwszy: dobranoc, wyszedł.

Wtedy Żyd od drzwi wrócił, lichtarz na stole umieścił, a przeszedłszy na palcach ku alkowie, pąsowej firanki uchylił i ucha nadstawił.

Z wewnątrz alkowy słyhać było oddech dziecka gorączkowy, nierówny, chrypliwy. Mała lampka o zielonej szklanej banieczce paliła się tam na stołku. Stary pantofle zrzucił, do łóżka podszedł i zapatrzył się w rozognioną twarzyczkę chłopca niespokojnie, badawczo. Chwilę tak stał wstrzymując dech w piersi, po czym westchnął i wysunąwszy się z alkowy, na stołku ciężko siadł, oparł dłonie o kolana i zakotłosał siwą swoją głową.

Zgarbiony był teraz i jakby postarzały o jaki lat dziesiątek. Usta jego poruszały się bezdźwięcznie, pierś dyszała ciężko, oczy utkwione były w podłogę. Cienka świeca dogasała skwiercząc w cynowym lichtarzu.

Nazajutrz rano uliczka obudziła się cicha jak zwykle i jak zwykle spokojna.

Mendel Gdański od wczesnego ranka stał w skórzanym fartuchu przy swoim warsztacie. Wielkie jego nożyce zgrzytały po papierze zapalczynie, twardo, śruba prasy piszczała dociskana do ostatniego kręga, nóż wąski, długi błyskał pod ranne słońce zużytą swą klingą, skrawki papieru padały z szelestem na prawą i na lewą stronę. Stary introligator pracował gorączkowo, żarliwie; na jego zwiędłej, głęboko zbruzdzonej twarzy znać było noc niespaną. Gdy przecież wychylił lichą kawę, którą mu sąsiadka w dużym fajansowym imbryku przyniosła, raźniej mu się jakoś na sercu zrobiło, nałożył krótką fajeczkę, zapalił i poszedł budzić wnuka.

Chłopak zasnął dziś jakoś. Długo w noc na posłaniu rzucał się jak ryba, a teraz spał snem głębokim, cichym. Cienki promień słońca wpadający do alkowy przez-otwór pąsowej firanki kładł mu się na oczach, na ustach, na wątyłach, odkrytych piersiach; to znów w ciemnych, miękkich włosach i w długich, spuszczonej rzesach zapalał

złotobrunatne, migotliwe płomyki.

Stary patrzył się z lubością na dziecko. Czoło jego wyglądało się, usta rozszerzały, oczy mrużyły i nabierały blasku. Roześmiał się wreszcie szczęśliwym cichym śmiechem, a wciągnąwszy wielki kłęb dymu z fajeczki, pochylił się i puścił go pod sam nos chłopaka. Malec się zakrztusił, zerwał, szeroko otwarł złote swoje oczy i zaczął je trzeć złożonymi w dwie chude piąstki rękami. Spieszył się teraz niezmiernie, był zafrasowany; jedno z zadań zostało nie dokończonym, książki, kajety nie poukładane leżały dotychczas na stole: Już i kawy nie dopił, i bułki na pauzę, przełożonej dwoma plasterkami zimnego jajka na twardo, nie chciał wziąć, tylko w tornister książki rzucał, niepewny, czy się nie spóźni. Kiedy wszakże szynel na ramiona wzięwszy do drzwi zmierzał, drzwi otwarły się gwałtownie, a chudy student z facjatki pchnął go na powrót do izby:

- Uciekaj, bo Żydów biją!

Rozdrażniony był widocznie bardzo. Jego ospowata, długa twarz zdawała się jeszcze dłuższą i jeszcze bardziej spustoszoną; krok, jaki z sieni do izby zrobił, oddalił

cienkie jego nogi na niezmierną odległość od siebie, małe bure oczy sypały iskry gniewu. Wylękły malec kłębkiem potoczył się aż ku stołowi, upuszczając szynel i tornister...

Stary osłupiał. Ale wnet oprzytomniawszy, ogniami z twarzy buchnął, jak żbik do studenta skoczył...

21

- Co to uciekaj?... Gdzie un ma uciekać?... Na co un ma uciekać?... Czy un tu ukradł co komu, co by un uciekać miał?... Czy un tu w cudzej stancji siedzi?... W

cudzy dom... Un tu w swojej stancji siedzi! w swój dam! Un tu nikomu nic nie ukradł!

Un do szkoły idzie! Un nie będzie uciekał!...

Przyskakiwał do stojącego we drzwiach studenta, skurczony, zebrany w sobie, syczący parszkający i trzęsący brodą.

- Jak tam pan chcesz! - rzucił szorstko student. - Ja powiedziałem...

I zabierał się do wycofania z izby swojej niezmiernie długiej nogi. Stary introligator uchwycił go za połę wytartego paltota.

- Jak ja chcę?... Nu, co to jest za gadanie, jak ja chcę! Ja chcę, co bym ja spokój miał. Ja chce spokojnie zjeść mój kawałek chleb, co ja na niego pracuję! Nu, ja chcę wychować te sieroty ten chłopiec, co by z to dziecko człowiek był, co by nikt na niego nie pluł, kiedy un nic winny nie jest!... Nu, ja chcę, co by nie było ani mojej, ani niczyjej krzywdy, co by sprawiedliwość, co by się ludzie Boga bali!... Nu, ja tego chcę!

A uciekać to ja nie chcę! Ja w to miasto się urodziłem, w ten dom dzieci miał, ja tu nikogo nie skrzywdziłem, ja tu warsztat mam...

Nie skończył, kiedy od załamania uliczki ozwała się głucho wrzawa, jakby z daleka gdzieś przeciągającej burzy: Po twarzy studenta przeleciał kurcz nagły, wpółgłówna klątwa wypadła mu przez ściśnięte zęby.

Stary introligator umilkł, wyprostował się i wyciągnąwszy chudą szyję nasłuchiwał chwilę. Wrzawa zbliżała się szybko. Słysząc już było gwizd przeciągły, śmiechy, wołania, wybuchy krzyków i płaczu lament. Uliczka zawrzała. Zamykano bramy, tarasowano sklepy, jedni biegli wprost na wrzawę, drudzy uciekali od niej., Nagle malec, wystraszony, rozszlochał się głośno. Student z naciskiem drzwi zamknął i zniknął w pustej sionce.

Stary Żyd słuchał. Ani szlochania dziecka; ani wyjścia studenta zdawał się nie spostrzegać. Wzrok miał jak gdyby cofnięty w siebie, dolną wargę obwisłą, ucho nastawione. Mimo skórzanego fartucha widać było drżenie jego starych kolan; twarz z czerwonej stała się brunatną, z brunatnej żółtą, z żółtej kredowobiałą: Wyglądał jak człowiek trafiony postrzałem. Chwilka jeszcze; a to stare, osłabłe ciało złamie się i runie.

Coraz bliższa, coraz wyraźniejsza wrzawa wpadła nareszcie w opustoszałą uliczkę z ogromnym wybuchem krzyku, świstania, śmiechów, klątw, złorzeczeń. Ochryple, pijackie głosy zlewały się w jedno z szatańskim piskiem niedorostków. Powietrze zdawało się pijane tym wrzaskiem motłochu; jakaś zwierzęca swawola obejmowała uliczkę, tłoczyła ją, przewalała się po niej dziko, głucho. Trzask łamanych okiennic, łoskot toczących się beczek, brzęk rozbijanego szkła, łomot kamieni, zgrzyt drągów żelaznych zdawały się jak żywe brać udział w tej ohydnej scenie. Jak płatki gęsto padającego śniegu wylatało i opadało pierze z porozrywanych poduszek i betów. Już tylko kilka lichych kramów dzieliło izbę Mendla od rozpasanej ciżby. Malec przestał

szlochać i trzęsąc się cały jak w febrze, przysiadł się do dziada. Jego wielkie ciemne oczy pociemniały jeszcze i świeciły ponuro z poblądłej twarzyczki. Dziwna rzecz! To przytulenie się dziecka i to bliskie już niebezpieczeństwo skrzepiły starego Żyda.

Położył rękę na głowie wnuka, tchu w piersi nabrał szerokim oddechem, a choć twarz miał jeszcze jak opłatek białą, do żrenic już przywołał i ogień, i życie.

- Sz... - szepnął uspakajająco.

Teraz dopiero płacz, który już umilkł, zduszony wielkim strachem. Teraz dopiero to przedchwilowe szlochanie dziecka dochodziło do jego świadomości.

W tej chwili do długiej, wąskiej sionki wpadło kilka kobiet: powrózniczka z dzieckiem na ręku, stróżka, straganiarka.

- Dalej, Mendlu! - krzyknęła od progu stróżka - zejdzta im z oczów! Ja tu duchem w oknie obrazek postawię albo krzyzik. Już ta po inszych izbach stoi... To tam nie idą!...

Chwyciła malca za rękę.

- Dalej, Kubuś! Do alkowy!...

Obstąpiły ich, zasłaniały sobą, pchały ku paśowej firance. Znały tego Żyda tak dawno, był usłużnym, dobrym człowiekiem. Za kobietami zaczęli się wsuwać inni mieszkańcy małej kamieniczki. Izba zapełniała się ludźmi.

Stary Mendel jedną rękę oparł na ramieniu chłopca, a drugą odsunął kobiety.

Oprzytomniał już zupełnie przez tę jedną chwilę.

- Dajta spokój, Janowa! - mówił twardym, brzmącym jak dzwon głosem. - Dajta spokój! Ja wam dziękuję, bo wy mnie swoją świętość chcieli dać, mnie ratować, ale ja do moje okno krzyż nie chcę stawić! Ja się nie chcę wstydić, co ja Żyd. Ja się nie chcę bać! Jak uny miłosierdzia w sobie nie mają, jak uny cudzej krzywdy chcą, nu to uny nie są chrześcijany, nu, to uny i na ten krzyż nie będą pytali i na ten obraz... Nu, to uny i nie ludzie są. To uny całkiem dzikie bestie są. A jak uny są ludzie, jak uny są chrześcijany, nu, to dla nich taka siwa głowa starego człowieka i takie dziecko niewinne też jak świętość będzie. Pójdź, Kubuś...

I pociągnawszy za sobą chłopca, mimo hałaśliwych protestów zebranych, do okna podszedł, oba jego skrzydła pchnięciem ręki otworzył i stanął w nim w rozpiętym kaftanie, w skórzanym fartuchu, z trzęsącą się brodą białą, z głową wysoko wzniesioną, tuląc do swego boku małego gimnazistę w szkolnej bluzie, którego wielkie oczy otwierały się coraz szerzej, utkwione w wyjący motłoch.

Widok był tak przejmujący, że kobiety szlochać zaczęły.

Spostrzegła stojącego w oknie Żyda uliczna zgraja i omijając pozostałe kramy rzuciła się ku niemu.

Tę heroiczną odwagę starca wzięto za zniewagę, za urągowisko. Tu już nie szukano, czy jest do wytoczenia jaka beczka pełna octu, okowity, jaka paka towarów do rozbicia, jaka pierzyna do rozdarcia, jaki koszt do stłuczenia. Tu wybuchła ta dzika żądza pastwienia się; ten instynkt okrucieństwa, który przyczajony w jednostce, jak pożar opanowuje zbiegowisko, cizbę...

Jeszcze nie dobiegli pod okno, kiedy kamień rzucony z pódrodka tłumu trafił w głowę chłopca Malec krzyknął, kobiety rzuciły się ku niemu. Żyd puścił ramię dziecka, nie obejrzał się nawet, ale podniósłszy obie ręce wysoko ponad wyjący motłoch wzrok utkwiał i szeptał zbieiałym usty:

- Adonai! Adonai!... - a wielkie łzy toczyły się po jego zbrudzonej twarzy.

W tej chwili był to prawdziwy Gaon, co znaczy: wysoki, wzniosły.

Kiedy pierwsi z tłumu pod okno dopadli; znaleźli tam wszakże niespodziewaną przeszkodę w postaci chudego studenta z facjatki

Z wzburzoną czupryną, w rozpiętym mundurze stał on pod oknem Żyda, rozkrzyżował ręce zacisnąwszy pięście i rozstawiwszy nogi jak otwarty cyrkiel Był tak wysoki, że zasłaniał sobą okno. niemal w połowie. Gniew, wstyd, wzgarda, litość wstrząsały jego odkrytą piersią i płomieniami szły po jego czarnej, ospowatej twarzy...

- Wara mi od tego Żyda! - warknął jak brytan na pierwszych którzy nadbiegali. -

A nie, to wal we mnie jeden z drugim, gałgany! psubraty! hultaje!

Trząśł się aż cały i nawet pełnego głosu dobyć nie mógł, tak go gniew dławił. Z

małych jego burych oczu iskry sypać się zdawały.

Był w tej chwili pięknym jak Apollo...

Kilku trzeźwiejszych z bandy zaczęło się cofać Postać młodzieńca i jego słowa uderzyły ich swą siłą. Skorzystał z tego długi student, a skoczywszy przez niskie okno do izby, odepchnął Żyda, a sam w oknie stanął. Tłum przeciągnął mimo tego okna z głąchą wrzawą. Szyderstwa, pogrożki, wrzaski, złorzeczenia towarzyszyły pochodowi temu; po czym wrzawa oddalała się, cichła, aż przeszła w huk niewyraźny, daleki.

Tego wieczora nikt się, przy sosnowym stole nie uczył i nikt przy warsztacie nie pracował. Zza pasowej firanki z alkowy dobywał się niekiedy, cichy jęk dziecka; zresztą spokój panował tu zupełny, Gdyby nie rozbita szyba w okienku, gdyby nie porzucony na podłodze szynel i tornister uczniowski, nie znać byłoby tej burzy, która tu przeszła rankiem.

W alkowie za pasową firanką leżał mały gimnazista z obwiązaną głową. Zielona lampka paliła się przy nim, chudy student siedział na brzegu łóżka trzymając rękę malca.

23

Twarz studenta była już tą samą co zwykle, dziobatą, brzydką twarzą; w oczach tylko paliły się niedogasłe ognie z dna duszy ruszone Siedział milczący; namarszczony, gniewny i od czasu do czasu rzucał niecierpliwie spojrzenie w ciemny kąt alkowy. W

kącie tym siedział stary Mendel Gdański, bez ruchu, bez głosu. Skulony, z łokciami wspartymi o kolana, z twarzą ukrytą w rękach siedział on tak już od południa, od chwili, w której, dowiedział się, że chłopcu niebezpieczeństwo nie grozi.

Ta nieruchomość i to milczenie starego introligatora niecierpliwiły studenta.

- Panie Mendel! - burknął wreszcie - wyleźże pan już raz z tego kąta! Bosiny pan odprawiasz czy co u licha? Trochę gorączki i nic;więcej. Chłopak za tydzień jaki do szkoły pójdzie, byle się trochę tylko skóra zrosła. A pan tak na marze zasiadł, jakby co panu umarło.

Stary Żyd milczał.

Po chwili dopiero podniósł głowę i odezwał się głosem namiętnie drgającym:

- Pan się pyta, czy ja na bosiny siedzę? Nu, ja siedzę na bosiny! Ja popiół na głowę mam i wór gruby na głowie mam, i na popiele ja siedzę, i nogi bose mam, i pokutę wielką mam; i wielką boleść mam, i wielką gorzkość...

Zamilkł i twarz znowu w ręce ukrył: Mała zielona lampka da wała jego siwej głowie, jakieś szczególne, widmowe niemal oświetlenie..Malec jęknął raz i drugi i znów zaległo milczenie.

A wtedy wśród tej ciszy podniósł Mendel Gdański raz jeszcze głowę i rzekł:

- Pan powiada, co u mnie nic nie umarło? Nu, u mnie umarło to, z czym ja się urodził, z czym ja sześćdziesiąt lat żył, z czym ja umierać myślał... Nu, u mnie umarło serce do tego miasto!

24

Omówienie

Maria Konopnicka już jako sławna poetka ogłosiła cztery zbiory nowel. Wypełniły je głównie portrety i biografie różnych postaci ludowych. Współczuciu ich niedoli towarzyszy tu szacunek dla ich wrażliwości moralnej, wielkoduszności, subtelnej nieraz kultury uczuciowej. Bohaterowie Konopnickiej nie tylko znajdują się w sytuacjach tragicznych, ale i potrafią je świadomie, godnie, z poczuciem odpowiedzialności moralnej, a nieraz z heroizmem przeżywać.

□ U Konopnickiej bohater ludowy, niegdyś tylko obiekt “pracy u podstaw”, traktowany z litością, ale i wzgardą, stał się dopiero reprezentantem powszechnych prawd o kondycji ludzkiej, wzorem męstwa i godności wobec nieszczęścia czyhającego na człowieka.

Konopnicka z sarkastyczną dosadnością zaatakowała bezduszną obojętność i obłudę współczesnych instytucji społeczeństwa burżuazyjnego (“Miłosierdzie gminy”)

□ Warsztat nowelistyczny pisarki kształtował się w latach, gdy walcząca i arogancka publicystyka pozytywizmu ustąpiła miejsca dojrzałej i przedmiotowej prozie realistycznej.

Dla większości nowel postyczniowych materiał ideowy i artystyczny stanowiła publicystyka, gdy dla Konopnickiej - reportaż. Praktyka w “Świcie” nauczyła ją gromadzić, selekcionować i zestawiać fakty, by ich wymowy nie osłabiał i nie przeinaczał komentarz narratora.

□ Trzecioosobowego narratora, który wie absolutnie wszystko o opowiadanym świecie nieczęsto dopuszcza do głosu. Zachowuje on się powściągliwie, nawet, gdy przedmiotem opowieści jest świat wewnętrzny bohatera (jego uczucia, przeżycia). Częstym też chwytem jest opowiadanie z zewnątrz, ale jakby z perspektywy uczestnika zdarzeń, z rozumiejącą niby-akceptacją postaw bohaterów (czytelnik postawiony zostaje przed grozą nagich faktów).

“Mendel gdański”

Utwór drukowany po raz pierwszy w “Przeglądzie Literackim” w 1890 r.

Bezpośrednią przesłanką do jego napisania była akcja podjęta przez literatów w odpowiedzi na rozruchy antysemitki w Królestwie. (zainicjowała go Eliza Orzeszkowa). Tekst przerósł jednak humanitarne intencje. Mendel stał się postacią tragiczną a jego los - symbolem klęski człowieka domagającego się sprawiedliwości nie litości.

Treść utworu

Tytułowy bohater to mądry, stary Żyd, introligator, wychowujący samotnie wnuka sierotę . Wobec pogłosek o groźbie pogromu w mieście Mendel tłumaczy zegarmistrzowi, prymitywnemu antysemitom, jak bardzo czuje się związany z Polską (przeżył tu lata walk powstańczych i represji zaborcy) i Warszawą (nazwisko "Gdański" użyte zostało dla zmylenia cenzury), w której spędził, uczciwie pracując, całe życie .

Następnego ranka pijany motłoch rani kamieniem małego Kubusia Gdańskiego .

Wprawdzie sąsiedzi stają w obronie Mendla i jego wnuka . a rana chłopca nie jest groźna, w starym, Żydzie umiera "serce do tego miasta" .

Budowa utworu

□ Ośrodkiem układu dramatycznego jest postać Mendla - wydarzenia zewnętrzne (m.in. przygoda wnuka) stanowią tło i uzasadnienie jego przeżyć, właściwy dramat rozgrywa się w sferze psychiki.

□ Problem

antysemityzmu:

- niechęć, wrogość i zawiść wobec Żydów na skutek zakorzenionych przesądów w społeczeństwie

polskim,

- antysemityzm brutalnie zrywający więzi Żydów z polskością **Bohaterowie**

Mendel nie cofa się lekliwie przed podłością, ufając ludziom, nie wierzy w powszechną podłość, a dla tych, którzy ją przejawiają, odczuwa pogardę. Wywody starego Żyda są niezwykle rzeczowe, uderza prostota rozumowania .

□ uosobienie wielkiej godności osobistej, czuje silną więź z Polską, miasto, w którym mieszka uważa za własne - żąda doceniania wkładu wszystkich obywateli w rozwój państwa;

□ jest szanowany i ceniony przez sąsiadów,

□ nieugięty, zdecydowany, mądry - trwa przy własnych przekonaniach

□ po doznanych krzywdach traci wiarę w ludzi

Zegarmistrz, uliczna zgraja - antysemita, ludzie organizujący napady, pogromy Żydów, głusi na wszelkie logiczne argumenty.

Student z facjatki, stróżka Janowa, sąsiedzi Mendla - ludzie, którzy stanęli w obronie Żyda.

“Miłosierdzie gminy. Kartka z Höttingen”

Nowela ukazała się w 1891 r. na łamach “Kraju”, następnie została włączona do zbioru “Ludzie i rzeczy”. Pomysł fabularny utworu (wrażenia osobiste Konopnickiej z częstych pobytów w Szwajcarii i wspomnienia z lektury korespondencji nadsyłanych do

“Świtu” przez T. T. Jeża) przedstawiony został w ramach bardzo silnej dyscypliny realistycznej, posiadającej wagę społecznego dramatu budowanego na zasadzie gradacji napięcia emocjonalnego.

Treść utworu

Akcja noweli toczy się w szwajcarskim miasteczku. Tematem utworu jest licytacja, której przedmiotem staje się zbyt stary i słaby, aby zarabiać na życie, mężczyzna. Weźmie go do siebie ten z gospodarzy potrzebujących taniej siły roboczej, który zażąda od gminy najniższej dopłaty. Licytację wygrywa Probst.

W ekspozycji przywołana zostaje, bardzo sugestywnie, atmosfera dnia codziennego małej miejsciny (piękna pogoda, jakby zwolniony rytm czynności mieszkańców). W ten sposób punktem wyjścia staje się uwydatnienie charakteru powszechności, przeciętnego poziomu życia, zainteresowań i reakcji psychicznych kręgu ludzi spokojnych o swój byt, niechętnych wszakiemu, co narusza uświęcony rytuał czynności i błogą równowagę doznań.

W dalszej części utworu narrator nie określa dokładnie celu zebrania. Zamiast tego stopniowo odsłania brutalne reakcje uczestniczących w nim osób, wywołane pojawieniem się głównego aktora dramatu - tragarza Kuntza Wunderli. Opis zachowania starca, jego oględziny i próba sił dokonane zostają w stylu groteskowej pantomimy, której towarzyszy komentarz narratora, bezlitośnie taksującego reakcję sali.

W pewnym momencie znika groteska, wzmagają się ton tragizmu w wyniku nieoczekiwanego przejścia od wieloznacznej poetyki do zupełnie odmiennej stylowo introspekcji przeżyć wewnętrznych bohatera, w wyniku której przesunięta zostaje hierarchia nastrojów i emocji (przyczyna jest pojawienie się na licytacji syna starca).

26

Jednak to przelotne zamieszanie, wywołane wśród zgromadzonych widokiem syna, ustępuje miejsca rzeczowym rozrachunkom. W wyniku wstrząsu, jakiego doznał

Kuntz, następuje gwałtowny spadek jego wartości nabywczej (wulgarne i prymitywne objawy zaniku rozróżnień między stosunkiem do przedmiotu i do człowieka).

Pojawienie się w końcu utworu "znawcy przedmiotu" - znanego z bezwzględności wobec pracowników Probst, powoduje, że po raz ostatni powraca, uwydatniony w tytule i rozwijany w całym przebiegu akcji, motyw miłosierdzia - tym razem nie w tonie szyderstwa, lecz grozy.

Problematyka

Zwyczaj kupowania człowieka pod pozorem "dobroczynnej" działalności - gmina wypłaca kupcowi dopłatę. Los "przygarniętych" nieszczęśników jest straszny, muszą oni wykonywać morderczą pracę.

□ zagadnienie chrześcijańskiego miłosierdzia a rzeczywisty interes gminy -

posiedzenie "sekcji dobroczynności" przeobraża się w targ o starego człowieka.

Chrześcijańskie miłosierdzie staje się przykrywką chciwości, okazuje się fałszem i zakłamaniem.

□ losy nieszczęsnego Kuntza Wunderli, który nie może liczyć na spokojną starość w domu syna; zdeptanie jego człowieczeństwa, poniżenie, zdegradowanie do pozycji zwierzęcia.

Bohaterowie

Kuntz Wunderla - 82-letni tragarz, starzec wymizerowany, schorowany, ledwo trzymający się na nogach, ubrany w strój pożyczony od woźnego. Stara się nie pokazać swej niedołężności, chce sprawić wrażenie człowieka zdolnego do pracy.

Pragnie trafić do swych bliskich, ma nadzieję, że wylicytuje go syn.

Zebrani na licytacji - bezlitośni, nieczuli na los biedaków, przekonani, że postępują słusznie i moralnie, pozbawieni uczuć i więzi rodzinnych.

Zagadnienia do omówienia

1. Tematyka nowel Marii Konopnickiej.
2. Postać Mendla Gdańskiego, jego wystąpienie przeciw antysemityzmowi.
3. Tragizm losu bohatera noweli "Miłosierdzie gminy".

27

28

Table of Contents

[Miłosierdzie gminy](#)
[Mendel Gdański](#)